

Theodora Keogh

Podwójne życie

Tytuł oryginału

Meg



Rozdział I

Trzymała to coś w swojej dłoni. Było to cynowe cacko o długości dwóch cali – malutka trąbka.

– Ellen, popatrz, ona naprawdę gra! Ma aż trzy nuty! Chciałabyś, żeby była twoja?

Wyciągnięta dłoń Meg drżała, a palce konwulsyjnie ścisnęły zabawkę.

– Ellen, zostanemy przyjaciółkami! Trąbka będzie twoja, jeśli obiecasz, że będziemy się przyjaźnić.

Dziewczynka zawahała się:

– Ale co z Mi-mi? Co jej powiem?

– Musisz jej powiedzieć, że teraz ja jestem twoją najlepszą koleżanką. Ona może być drugą. Posłuchaj!

Meg przytknęła trąbkę do ust i dmuchnęła przyciskając jednocześnie małe klawisze. Tego było dla Ellen za wiele! Muzyce nie potrafiła się oprzeć!

– Obiecuję, Meg! Powiem Mi-mi na przerwie! Daj, chcę spróbować!

– Chwyciła instrument i spróbowała zagrać.

Meg szepnęła niespokojnie:

– Teraz już obiecałaś. Nie zapomnij!

Ellen kiwnęła głową i grała dalej. Trąbka brzmiała tak czysto i słodko, jak gdyby była wykonana ze srebra.

Meg usiadła do swojej ławki. Jej zdaniem Ellen grała cudownie. Sama nigdy nie potrafiła wydobyć niczego poza chrapliwymi odgłosami.

Przymknęła oczy. Głosy innych dziewcząt gdzieś zniknęły. Została tylko doskonała muzyka. Z zadumy wyrwał ją głos panny Otis:

– Dołączcie, do reszty dziewczęta!

Ellen przestała grać i przeszła wolno na swoje miejsce trzymając kurczowo teraz już własną trąbkę.

Margaret podniosła pulpit swojej ławki i zajrzała do środka. Z beładnej sterty książek wyciągnęła te, które potrzebne jej były do lekcji historii. Tylko dzięki temu zdołała opuścić blat z powrotem, chociaż i tak wystawały spod niego skrawki papieru.

Meg nie miała pojęcia, co to schludność. Wśród innych dziewcząt czuła się często jak wyrzutek albo raczej jak dumny żebrak. Podczas gdy wszystkie miały wyprasowane sukienki z szerokimi paskami, świeże kołnierzyki i zawsze wysoko podciągnięte kolanówki, ona wyglądała jak sto nieszczęść. Chociaż nie pochodziła z ubogiej rodziny, miała tylko jeden, bardzo już zniszczony mundurek, który służył jej od początku nauki. Żakiet był za krótki, bluzka poplamiona, a pończochy ciągle opadały na jej wysokie, i tak niewypastowane buty. Kolana miała posiniaczone od upadków na wrotkach, a ręce czarne od atramentu. Niemniej jednak w klasie cieszyła się poważaniem. Była jedyną, która nie miała ani guwernantki, ani pielęgniarki. Podczas gdy inne dziewczęta zajeżdżały pod wielkie drzwi szkoły limuzynami w towarzystwie opiekunów, zziąjana Margaret zawsze sama pędziła na swoich wrotkach. Włosy wymykały się jej z warkoczy, a twarz miała charakterystyczny dumny i pewny siebie wyraz. Każdego ranka portier stojący przy wejściu przeżywał istne katusze: „Znów to samo! Dlaczego nie przychodzisz z siostrą albo opiekunką? To wbrew przepisom!” – wykrzykiwał. W odpowiedzi słyszał tylko:

– „Phi! Moi rodzice pozwalają na to”

I rzeczywiście tak było.

W gronie dziewcząt z klasy największym przeciwieństwem Meg była Ellen – dziecko o jasnej karnacji i wypielęgnowanych paznokciach, Ellen, dla której stroje szyte były na zamówienie z doskonałych materiałów i której głowę każdego dnia zdobiła nowa wstążka. Margaret od dłuższego czasu pragnęła zostać jej przyjaciółką.

Siedząc w ławce obojętnie zajrzała do „Historii antycznej” Breasteda i obserwowała przedmiot swoich pragnień. Ellen siedziała w tyle, po lewej stronie klasy. Otworzyła dłoń, aby pokazać swój skarb Mi-mi.

– Zagramy w kości na przerwie – szepnęła.

Mi-mi kiwnęła głową, tak że można było zobaczyć jej pulchny podbródek, i posłała Meg nienawistne spojrzenie.

Panna Otis otworzyła podręcznik do historii i nieznacznie zacisnęła zęby szukając właściwej strony. „Kogo to wzrusza – pomyślała – czy Tyberiusz był cesarzem czy tylko zwykłym zbrodniarzem, kogo obchodzi, że Ellen i Mi-mi szepczą bez przerwy?”

Spojrzała na nie ostro i powiedziała:

- Ellen, Mi-mi, ostatni raz zwracam wam uwagę! Mi-mi, po lekcji przeniesiesz się do wolnej ławki obok Meg.

Ellen przez chwilę się zawahała.

- Ach, panno Otis! Mi-mi zapytała mnie tylko o numer strony, na której jesteście.

- Dosyć tego! Wróćmy do strony osiemdziesiąt trzy. „Kogo to wszystko obchodzi? Kogo?” – pomyślała raz jeszcze i po raz kolejny wyobraziła sobie ciepły pokój z miedzianymi rondlami i patelniami zawieszonymi na ścianach i niedużym łóżkiem.

„Przecież mogę mieć przyjaciela!” – Ta myśl powracała do niej jak bumerang.

Meg narysowała kilka małych wykrzywionych twarzy na marginesie książki, poszurała nogami pod ławką. „Jaka nudna lekcja!” – pomyślała.

- Margaret, opowiedz nam, proszę, o Tyberiuszu podając daty, jeśli to oczywiście możliwe ... – dodała z nutą sarkazmu panna Otis.

Dziewczynka wstała, splotła dłonie i spojrzała krzywo na resztę klasy. Jak zwykle starała się odegrać rolę kogoś, kto doskonale zna fakty i daty, musi jedynie uporządkować je w głowie przed przystąpieniem do wypowiedzi.

- Cóż, Tyberiusz był cesarzem... – Zrobiła przerwę.

- Doskonale, co poza tym? – panna Otis uśmiechnęła się gorzko. Wiedziała, że Margaret jest głabem. – Wszyscy czekamy, Margaret.

Meg dojrzała ten uśmiech i nagle wystrzeliła:

- Wiem, że wybudował wiele zamków na Capri, wiem też, że sprowadzał tam ludzi podwójnej płci, półkobiety-półmężczyzn dla zabawy. Mój ojciec widział kiedyś kogoś takiego na targowisku.

Dopiero teraz miała audytorium, dwadzieścia twarzy wyczuło poza niewinnie brzmiącymi słowami coś zakazanego. Margaret kontynuowała:

- Przeczytałam o tym w książce, którą mamy w domu: „Żywoty...”

- Wystarczy, Meg. Możesz zabrać swoje książki i opuścić salę. Jestem pewna, że damy sobie radę bez ciebie.

Margaret wykrzywiła twarz, żeby ukryć radość, jaką dawała jej ta chwila wolności. Schowała książki i wybiegła z klasy tak szybko, że trzasnęłyby drzwiami gdyby nie hamulec blokujący zamek.

Panna Otis spojrzała na przechylony pulpit ławki, którą opuściła Meg i pomyślała: „Jakież one nieznośne! Istne wybryki natury! Chociaż z drugiej strony...”

Phrosso, dziewczyna o kruczoczarnych włosach, siedziała w pierwszym rzędzie. „Tak bardzo chciałabym być Margaret – marzyła. – Chciałabym być taka drobna jak ona, wracać do domu sama i nie bać się nikogo!” Phrosso była wysoka i chociaż miała już dwanaście lat i pół roku, wciąż rosła. Spojrzała w bok swymi wąskimi, czarnymi oczyma.

– Jaka ta Meg ohydna! Nie sądzisz, Ellen? – Mi-mi nalegała na odpowiedź szepcząc. – Nie sądzisz?

Ellen od niechcienia skinęła głową udając, że jest zajęta wyglądaniem rogu na okładce swojego podręcznika.

Margaret była już na zewnątrz. Przez chwilę wahała się, aż wreszcie weszła do pustej łazienki. Przejrzała się w jednym z lusterek, ale nie zauważyła w swojej twarzy żadnych zmian. Poruszyła nosem rozszerzając nozdrza. „O, tak jest lepiej!” – zdecydowała. Czuliła, że nie obchodzi jej wyrzucenie z klasy. Wiedziała, że jeśli tylko zechce, może uciec z domu i już nigdy nie wrócić.

Oparła się o parapet okna i spojrzała na podwórko. Dzieciaki z młodszych klas skończyły już zajęcia i bawiły się pod czujnym okiem panny Janey's. Meg zauważyła wśród nich swoją młodszą siostrę, biegającą w tę i z powrotem ramię w ramię z innym dzieckiem. Miała ochotę na nią napluć, ale nie zdołała otworzyć okna. Zresztą sam fakt, że mogła ją, nieświadomą niczego, obserwować z góry, sprawiał jej przyjemność.

Na podwórku rosło drzewo, wokół którego rozciągał się zaśmiecony zagon. Meg spojrzała w tamtą stronę i poczuła nieodpartą chęć ucieczki. Uderzyła pięścią w szybę i wykrzywiła twarz.

„Cholerne miasto! Przeklęta szkoła!” – pomyślała.

Duchem była na ulicach, które zbiegały się nad rzeką. Musiała się zatrzymać. Nie wiedziała, jak pokonać wodę, jak uciec z tego okropnego miejsca. Tęskniła do lasów, w których panowała cisza, okrytych lekką, niewidoczną mgiełką. Niestety, zobaczy je dopiero podczas weekendu.

Tymczasem świadomość niekończącego się ciągu zajęć szkolnych podzialała na nią jak strumień zimnej wody.

Zabrział dzwonek, ogłaszając półgodzinną przerwę. Lekcja historii dobiegła końca.

Margaret postanowiła odczekać, aż nauczycielka opuści klasę, jednak w tej samej chwili panna Otis zjawiła się przy niej.

- Margaret, czy było konieczne, abyś zachowywała się w ten sposób? - spytała z pretensją.

Meg zarumieniała się, ale odpowiedziała z uporem:

- Pytała pani o Tyberiusza. Nie widzę nic złego w tym, co powiedziałam. Przecież on naprawdę miał zamki na Capri i sprowadzał tam...

- Milcz, Margaret! Wiesz dobrze, o czym mówię!

Nagle twarz nauczycielki złagodniała. Meg była taka drobniutka, miała takie wielkie oczy i kruche kości. Wyglądała tak, jakby potrzebowała pomocy. Pomocy kogoś, kto pogłodzi jej rozczochrane włosy i podciągnie opuszczone pończochy. Panna Otis przytuliła dziecinne drobne ramiona.

- Spróbujmy raz jeszcze, Meg!

Dziewczynka zeszywniała. Obrzydzenie i pogarda na jej twarzy kazały nauczycielce rozluźnić uchwyt i szybko wycofać się w stronę umywalki.

- Wracaj do klasy! Dzwonek zadzwoni, zanim będziesz gotowa. Oczywiście to już twoja kolejna dwójka z historii.

Panna Otis odkręciła kurek. Łzy wstydu i wściekłości napęliły jej oczy.

W szkole dla dziewcząt panny Drew ławka wyposażona była w wykres, który podawał godziny zajęć i numery sal. Żaden dzień nie był podobny do drugiego. Pięciominutowe przerwy pomiędzy lekcjami obwieszczane były dzwonkiem. Duża przerwa zaczynała się o jedenastej trzydzieści.

Meg nie widziała Ellen od czasu lekcji historii, ponieważ francuskiego i matematyki uczyły się osobno. Kiedy zjawiła się na podwórzu, Ellen i Mi-mi kucały na ziemi, grając w kości. Stała przy nich, ale żadna nie zwróciła na nią uwagi. Nie mogła tego znieść i w końcu krzyknęła:

- Ellen! Obiecałaś, że dzisiaj zagrasz ze mną!
- Tak, ale teraz jesteśmy w środku gry! Cholera! Zgubiłam się. To przez ciebie! Teraz znów będę musiała dochodzić do piątek.

Margaret odeszła i stanęła oparta o drzewo. Wydawało się, że całą jej duszę rozrywa ból. Nagle zjawiała się Phrosso, niosąc piłkę.

- Meg, poćwiczmy rzuty do kosza. - Jej głos brzmiał zachęcająco i pokornie.

- Nie, nie mam na to ochoty. Poza tym nienawidzę koszykówki. Zawsze się po tym cuchnie. Kiedy dorosnę, zostanę akrobatką i już nigdy nie wezmę udziału w grach.

- Och, to na pewno będzie wspaniałe! - powiedziała Phrosso. - Jeśli chcesz mogę przynieść matę i spróbujemy już teraz.

- Jest już za późno. - Margaret odwróciła głowę i pomyślała: „Muszę dostać Ellen. Wzięła trąbkę, a pewnie nigdy nie powie Mi-mi ani słowa!”

Rozdział II

Tego samego popołudnia około piętnastej trzydzieści Margaret siedziała na szkolnych schodach przypinając wrotki. Po niebie sunęły ołowiane chmury. Od ostrego wiatru zeszywniały jej palce i długo mocowała się z metalowymi klamrami. Większość dzieci zabierano do domów. Szły w towarzystwie francuskich guwernantek. Meg usłyszała, jak jedna mówi do drugiej:

- I pomyśleć, że niektórym dzieciom pozwala się wracać do domu bez opieki, w dodatku w taki sposób!

Po chwili zwróciła się do swojej wychowanki:

- Załóż rękawiczki, Anno! *Bien elevee* nigdy nie wychodzi bez rękawiczek!

Meg spojrzała na nią z ukosa i odparowała bezczelnie:

- Wolałabym być źle wychowana niż być wychowywaną przez ciebie!

Dobrze znała francuski, ponieważ przez krótki czas w dzieciństwie miała pochodzącą z kraju Basków nianię. Kochała ją i chociaż pamiętała już prawie niewyraźnie, wspominała ciepło. Wiedziała, że nianie i guwernantki nie miały ze sobą wiele wspólnego. Niania zawsze jadała w kuchni, a guwernantka dostawała posiłki na tacy do swojego pokoju, ewentualnie stołowała się z całą rodziną. Każda miała inny akcent i używała innych słów.

Opiekunka Anny odeszła udając, że nic nie słyszała. Pomyślała gorzko: „We Francji dostałaby dobrą szkołę. Przekłęci Amerykanie!” Zastanowiła się, tak jak co dzień, czy wysokie zarobki w pełni wynagradzają jej katusze, które przeżywa w tym barbarzyńskim kraju. W kraju, gdzie – biorąc pod opiekę niecywilizowane istoty – nie potrafi czuć się jak w domu.

Meg zauważyła guwernantkę Ellen. Należało się do niej zwracać M'msell. Była wyniosła, zawsze mocno uszminekowana i nosiła piórko przy kapeluszu.

Ellen i Mi-mi, obie w rękawiczkach i fikuśnych, niebieskich beretach wyszły na podwórze. Kierowca Mi-mi czekał już przy drzwiach samochodu, dlatego rozdzielili się szybko.

– Do jutra, Mi-mi!

– Nie zapomnij zapytać mamę, czy w piątek będziemy mogli pójść do kina!

– Nie zapomnę. Do zobaczenia!

Ellen spojrzała w stronę Meg tak, jakby chciała jej coś powiedzieć, jednak ta była już daleko w dole ulicy. Widać było tylko jej fruujące warkocze.

– Cóż za ziółko! – powiedziała M'msell.

Oddaliwszy się od szkoły, Meg całkiem o niej zapomniała, tak jakby nie istniała ani Ellen, ani Mi-mi, ani nawet panna Otis, jakby nigdy nie było szkolnego budynku i szerokich, pustych korytarzy. Teraz była wolna. W zasięgu ręki miała kilkadziesiąt miejsc, gdzie czekały przystań i ryzyko.

Mknęła w dół, mijając po obu stronach ulicy duże kamienice. Nagle skręciła w alejkę graniczącą z East River. Przy nabrzeżu, jedna za drugą, stały barki z węglem, a wielkie, czarne hałdy pokrywały przystań. Po drugiej stronie rzeki rozciągała się wysoka ściana, którą

przesłaniała kupa gruzu. Wszędzie unosił się kurz. Gdziekolwiek widać było stare kobiety ciągnące za sobą płócienne worki. Wyglądały jak czarownice wylaniające się ze swoich jaskiń.

Meg czuła pod stopami żwir, a w powietrzu zapach odpadków. Poczuli się raźniej, kiedy wjechała w East End Avenue, a później na wzgórze pod mostem Queensborough. Przejechała przez Sutton Place, malownicze, jednak niezbyt wytworne miejsce. Tutaj mieszkała jej ciotka z trójką kuzynów, ale Margaret minęła ich dom nawet na niego nie patrząc. Podczas wakacji bawili się razem na wsi, u babci, jednak w międzyczasie stali się dziwni i Meg myślała o nich z niechęcią. Ona sama czuła się dużo starsza od czasu Bożego Narodzenia, a oni cały czas pozostawali w tym samym wieku. Być może na Wielkanoc, kiedy znów zacieśnią się rodzinne więzi, kuzyni zmienią się na tyle, że będą interesować Meg tak jak kiedyś.

Na 57 ulicy było przejście prowadzące w stronę skał nad rzeką. Dla kogoś, kto o nim nie wiedział, było niemożliwe do odkrycia. Stanowiły je trzy luźne deski w starym, obrosniętym bluszczem płocie.

Meg odpięła wrotki, związała je razem i przyczepiła do skórzanego paska, który podtrzymywał jej płaszcz. Dyndały jej teraz w tali i na biodrach. Prześliznęła się przez połamane deski i weszła do swojego osobliwego raj. Krajobraz, który zobaczyła, mógł wydać się bardzo monotonnym. Skalisty, nierówny brzeg biegł od mostu wzdłuż rzeki, najpierw mijając wytworne prywatne parcele, później szereg pustych domów czynszowych. Swoimi nierównościami odgradzał małe plaże z czarnymi kamkami zamiast piasku. Gdziekolwiek widać było kępki roślinności, do których jeszcze nie dotarła wiosna. Pomiędzy nimi wily się ścieżki, tak wąskie, że sprawiały wrażenie kozich szlaków. W rzeczywistości zostały wydeptane przez dzieci. Z dołu dochodziły odgłosy rzeki, która podmywała skalisty brzeg. Słona, skażona ściekami woda niosła ze sobą tak silne prądy, że na jej powierzchni tworzyły się czarne, ponure kręgi.

Meg odkryła to miejsce dwa tygodnie temu. Jeszcze wtedy, w obawie przed upadkiem ze skarpy, chodziła na czworakach, bojąc się oderwać ręce i nogi od podłoża. Teraz już bez trwogi biegła wzdłuż skalnych krawędzi. Beztrąsko wdrapała się wyżej, a później zbiegła na jedną z plaż.

Przy ognisku siedziało trzech chłopców, którzy opiekali coś na długich, zaostzonych kijach. Dwóch z nich było w wieku Meg, a jeden młodszy. Wszyscy mieli jednakowo bystre twarze i popękane, charakterystyczne dla dzieci z ubogich dzielnic, usta. Byli ubrani w krótkie spodnie i swetry. Najmłodszy miał na sobie za dużą kurtkę.

Podnieśli wzrok na dziewczynkę.

- Cześć, Meg! Zobacz, mamy ognisko. Chodź i ogrzej się. Bawimy się w Indian.

- Nie w Indian, głupku! Chyba raczej w pasażerów na gape - poprawił go inny.

Meg podeszła bliżej i usiadła.

- Wiesz, jest nowy chłopak. Nazywa się Jack Malloy. Powiedział, że był tu przed nami i to miejsce należy do niego. Jego ojciec się wzbogacił i wyjechali. Teraz znów są biedni i dlatego wrócił.

- Co chce zrobić, będzie próbował nas stąd wyrzucić?

- Nie. Powiedział, że możemy się tu bawić pod jednym warunkiem: musimy słuchać tylko jego i robić, co każe.

- Naprawdę? Czy nie możemy z nim walczyć? - zgasiła go Meg zuchwale, podkurczając swoje czerwone od zimna nogi. Chłopak spojrział powątpiewająco i obrócił patyk, na którym coś przypiekał.

- On jest starszy. Na Wielkanoc skończy czternaście lat. Ma prawdziwą procę i potrafi z niej zestrzelić prawdziwego ptaka.

- Widziałeś go, Micky? Widziałeś, jak strzela do ptaków? - Zapytał Danny, najmłodszy z chłopców, wytrzeszczając zabawnie oczy i otwierając usta tak, że było widać jego zepsute mleczne zęby.

- Nie. Ale powiedział, że zrobi to, kiedy będzie chciał. Mówi, że musimy założyć gang i wykurzyć tych z Pierwszej Alejki. Jeśli tego nie zrobimy, któregoś dnia oni przyjdą tutaj i zabiorą nam ten cholerny kawałek ziemi.

- Dlaczego? - zapytał Giovanni, ostatni z całej trójki, o czarnych, delikatnych, niemalże dziewczęcych oczach.

- Powiedział, że te domy będą zburzone i wszyscy znajdą do nas drogę.

- Gdzie Josh? - zapytała Meg.

- Musiał pójść i pomóc matce.

- Och, ta jego matka! - krzyknął Micky. - Dlaczego nie skoczysz do rzeki i nie ugrzęźniesz w mule?

Zaczęli sobie wyobrażać, jak by to wyglądało i jak czułaby się matka Josha w takiej sytuacji. Tak ich to rozbawiło, że turlali się ze śmiechu po całej plaży, zapominając o pieczonych smakołykach, które upadły w ogień.

Nagle na plaży pojawił się jeszcze jeden chłopak. Miał jasną, mlecznobiałą, piegowatą twarz. Jego usta były pełne i czerwone, jak u dziewczyny. Wiedział o tym i skrzywił je w charakterystyczny, łobuzerski sposób. Miał na sobie dżinsy i rozpiętą flanelową koszulę, spod której wystawał skrawek bielizny. Zdziwiony spojrzął na Meg.

- Kurczę! Dziewczyna? Tutaj? Dużo się zmieniło.

Jego głos przez moment był wysoki i czysty, ale zaraz, na skutek mutacji, stał się chrapliwy.

- To ja znalazłam to miejsce! - powiedziała Meg już stojąc, wrotki dyndały jej przy pasku. - Poza tym - dodała, speszona jego drwiącym spojrzeniem - żyjemy w wolnym kraju, prawda?

- Czyżby? Panno Wszystko Wiem? Wobec tego mogę zrobić to, co mi się żywnie podoba. - Roześmiał się i mocno pociągnął jej długi warkocz.

Twarz Meg przybrała kolor buraka. Łzy wściekłości napęliły oczy i żeby je ukryć, schyliła głowę i odpowiedziała po cichu:

- Tak czy tak, nie boję się ciebie!

- Nie? - zaśmiał się drwiąco Jack i pomyślał: „Co za mały, głupi dzieciak! Pozwolę jej zostać, choćby dla zabawy! Szybko zmienił temat. - Założę się, że jeszcze nie wiesz wszystkiego o tym miejscu.

- Czego na przykład? - zapytała ostrożnie Meg.

- A widzisz! Myślę o jaskini.

Cztery pary oczu zaiskrzyły się nadzieją i niedowierzaniem równocześnie.

- Chodźcie zobaczyć! - zawołał i wbiegł na jeden ze szlaków, który prowadził gdzieś w dół. Poszli za nim aż do mostu. Na chwilę ogarnął ich półmrok. Sami nigdy nie zapuszczali się tak daleko.

- To tutaj. - Zatrzymał się przed płataniną krzaków i ostrych chaszczy.

Tak jak mówił, była to jaskinia. Gęste zarośla, które porastały skalny występ, skutecznie ją ukrywały. Była płytka, ale wystarczająco duża, by pomieścić piątkę dzieci.

- Bądźcie ostrożni! Nie można zniszczyć tych krzaków. Ukryte wejście to sekret.

Cała reszta stała, dysząc głośno z wrażenia.

- Słyszeliście, co powiedziałem? - zapytał Jack i znów pociągnął warkocz Margaret. Jednak tym razem był to zaszczyt.

Rozdział III

Odźwierny na Beekman Place pod numerem siedemnastym ziewnął, zapominając nawet zasłonić dłonią usta. Chciał już skończyć pracę i pójść do domu. Uważał, że nie ma niczego interesującego w otwieraniu drzwi każdego dnia. W dodatku ten uniform! Czuł się w nim bardzo głupio. Cóż, jedni lubili mundury, inni nie. Poza tym była to niezłe płatna praca, a on nie był zbyt ambitny. Dobrze wychowany, odzywający się przyciszonym głosem, był ulubieńcem wszystkich wytwornych dam mieszkających w tym domu. Zawsze czysty, dobrze ostrzyżony, zawsze uprzejmy. Poza tym jeśli było coś, co sprawiało im kłopot, on zachowywał się tak, jakby ten kłopot dotyczył również jego. Kiedy gubiły kluczyki od samochodu, co zdarzało się często, lub nie wiedziały, czy brać parasol czy nie, zawsze uczestniczył w tych pozornie błahych problemach.

Tylko jeden raz zdarzyło mu się, że czuł się bardzo źle i nie potrafił być dla nikogo uprzejmy. Sześć miesięcy temu, kiedy skończył pracę i dostał wypłatę, poszedł do baru na piwo. Mężowie wytwornych dam byli tam również i pozdrawiali go bardzo serdecznie: „Cześć, Roberts! Dobry wieczór, Roberts!” W barze, który był nieduży i przytulny, czuł się naprawdę odprężony. Nagle weszło trzech uzbrojonych mężczyzn. Kazali wszystkim wstać i z rękami podniesionymi do góry, przemaszzerować do piwnicy. Po drodze Roberts zdążył upuścić tygodniowy zarobek do

popielniczki, która stała przy schodach. Miał szczęście, że to zrobił. Trójka chuliganów zabrała wszystkie portfele i drobne pieniądze. Dzięki

Bogu nie było tam żadnych kobiet. Puste portfele znaleziono później na 53 ulicy. Wszyscy z wyjątkiem Robertsa stracili masę pieniędzy. On sam chciał opróżnić swój schowek niepostrzeżenie, ale nie udało się. Pan Mitchel, zauważył go pierwszy: „Proszę, proszę! To ci dopiero cwaniaczek! Chodźcie zobaczyć, jaki numer wykręcił im Roberts” Zbrali się wokół niego szczerząc zęby i przeklinając z podziwem. Po tym wszystkim przez tydzień lub dwa musiał się przed wszystkimi usprawiedliwić. Był szczęśliwy, kiedy mu w końcu wybaczone, za gorącym poparciem pań.

Stał teraz przed drzwiami, zacierając z zimna ręce i obserwował popołudniowe niebo. Odwrócił głowę, kiedy usłyszał gwałtowne skrobanie do drzwi. Zobaczył małą, kudłatą mordkę Bruce'a, teriera państwa Mitchel.

- Właż, Bruce! - krzyknął uchylając drzwi. Bruce zaczął podskakiwać, Roberts uśmiechając się pod wąsem mruknął:

- Dobrze, dobrze, wystarczy. Podrzesz mi spodnie. Idź już!

Bruce'a znali wszyscy. Dwa razy dziennie wychodził sam na spacer. Wracał zawsze cały i zdrowy. Biegał szybko na swoich krótkich łapach, podnosząc tylną nogę przy byle okazji. Czasami robił to z konieczności, czasami tylko dla zabawy.

Ruszył w stronę baru, tego samego, w którym zdarzył się napad. Począł spokojnie, aż ktoś wychodząc uchylił mu drzwi, a później zwinnie wśliznął się do środka. Barman Jimmy powitał go serdecznie. Byli dobrymi przyjaciółmi, mimo że pies nigdy nie chciał spróbować whisky, a Jimmy zawsze go zachęcał.

- Witaj! - Jimmy wychylił się zza kontuaru.

Rzucił psu precel i kawałek pomidora. Przy barze siedziała lekko wstawiona kobieta, która zawołała:

- Hej, piesku! Śliczny piesku!

Pochyliła się ku niemu tak, że jasne włosy zakryły jej policzki. Bruce nie zwracał na nią uwagi. Był wyrafinowany i pilnował swego nosa. Zupełnie jak Jimmy. Obaj uważali, że wszystkie kobiety to damy, i odnosili się do nich z szacunkiem w każdej sytuacji. Zresztą w barze pijane kobiety zdarzały się bardzo rzadko. Najczęściej zamawiały tylko

bourbon i to przy jakiejś szczególnej okazji. Bruce pomachał ogonem i Jimmy wypuścił go.

Po barze przychodziła kolej na sklep masarski, z którego Bruce wychodził zawsze usatysfakcjonowany. Ostatnim punktem na liście był sklep z gazetami, gdzie dostawał cukierki.

Po drodze do domu Bruce spotykał Meg.

- Hej, do cholery! Czy nie widzisz, jakie masz ostre pazury?

Resztę drogi przeszli razem. Przed wejściem Bruce poczekał, aż Meg przeprowadzi tradycyjną rozmowę z portierem.

- Mogę dzisiaj, Roberts?

- Nie, Meg. Dostyc tego, porysujesz podłogę tymi swoimi wrotkami!

- Nie porysuję! Zresztą ona i tak jest zniszczona, a ja nigdy jeszcze nie jeździłam po marmurze.

- Nie!

- Poczeka! Zobaczysz, zrobię to kiedyś bez pytania, jak tylko się odwrócisz!

- Niech cię ręka boska broni, jeśli cię na tym złapię!

- Dlaczego? Co mi zrobisz?

Czekała. Roberts powtórzył jeszcze raz:

- Niech cię ręka boska broni! To wszystko.

Meg zdjęła wrotki. Roberts spojrział na nią z góry i pomyślał: „Te dziewczyny, cóż to za przedziwne stworzenia! Choćby ona, czy kiedykolwiek dorośnie? Czy będzie jedną z tych światowych dam, którym codziennie otwieram drzwi? Czy te chude, podrapane nogi nabiorą kiedyś pięknych kobiecych kształtów? Czy te czerwone tępe paznokcie będą kiedyś pomalowane? Czy ten dziecięcy, bezczelny głos będzie kiedyś brzmiał poważnie i grzecznie?”

Po chwili odezwał się głośno:

- Twoje kolano wygląda nieciekawie. Co znowu zrobiłaś?

- Och, nic takiego! Zwykle draśnięcie o kamienie. Do widzenia!

Zniknęła w marmurowym hallu. Zapadł mrok.

Kiedy Meg weszła do łazienki, Linned właśnie się kąpała. Gawędziła ze swoją opiekunką, wrzucając do wody coraz to nowe plastikowe zabawki. Okrągłe, dziecięce ramiona lśniły od mydła, a drobne loczki wystawały spod gumowego czepka. Linny miała osiem lat i była zupełnie inna niż Margaret: miała jasne włosy, różową delikatną

skórę i pulchne ciało. To dlatego Meg ciągle jej powtarzała, że jest przysmakiem dla kanibali.

Margaret lubiła pielęgniarkę Linny. Może dlatego, że nie sprawowała opieki nad nią samą. Było jej nawet przykro, że wkrótce się pożegnają. Pielęgniarki również, bo i ona kochała dziewczynki. Nigdy nie odchodziła z pracy dobrowolnie, zawsze sprawiało jej to przykrość. Owszem, czasami odwiedzała rodziny, u których wcześniej pracowała, ale to nie było to samo. Siedziała w kuchni, ubrana w wizytową sukienkę i nie poznawała dzieci, które kąpała jeszcze przed miesiącem. Dzieciom polecano uściskać jej rękę i koniec. Pozostawała zapomniana.

Pielęgniarka Abbott spojrzała na Meg z wyrzutem.

- Jak ty wyglądasz? Jak dziki Indianin! - Gdybym mogła cię umyć i ubrać... ale twoja matka twierdzi, że dziecko powyżej dziewięciu lat jest dorosłe i nie potrzebuje opieki, lecz gdybyś była moim dzieckiem, natychmiast wsadziłabym cię do wanny.

- Nie jestem twoim dzieckiem, ale wejdę do wanny. Oczywiście, gdy ta różowa świnka przestanie chlapać i wyjdzie stąd.

- Nie jestem świnka! To ty nią jesteś! Jesteś brązową i wstrętną świnia, chcę, żebyś umarła! - Linny wzięła jedną ze swoich gumowych kaczek, zanurzyła ją w wodzie i krzyknęła:

- O tak!

Meg z łoskotem upadła na podłogę.

- Powiedz mamie, że Linny Mitchel to zrobiła.

- Ona żyje, prawda? - zapytała Linny.

- Oczywiście - powiedziała Abbott.

- Meg, nie bądź głupia! Wstawaj! Dostaniesz reumatyzmu od leżenia na podłodze.

- Nie żyję, Linny rzuciła na mnie kłótwę. - Meg zaczęła głośno oddychać i przewracać białkami. Linny ryknęła płaczem.

Nagle drzwi do łazienki się otworzyły i stanęła w nich pani Mitchel. Miała na sobie aksamitną, przymarszczoną suknię. Była smukłą i elegancką kobietą po trzydziestce.

Margaret podniosła się z podłogi, a Linny otworzyła szeroko zalane łzami oczy.

- Witaj, kochanie - powiedziała pani Mitchel do swojej starszej córki, której nie widziała od rana. - Jak spędziłeś dzień?

- Całkiem miło.
- Kolacja będzie za pół godziny, pośpiesz się, weź kąpiel!
- Właśnie zamierzam to zrobić, mam. Czekam, aż Linny wreszcie stąd wyjdzie.

Margaret odprowadziła matkę wzrokiem i wciągnęła w nozdrza zapach jej perfum. Rozebrała się przed lustrem w swojej sypialni, wpatrując się we własne odbicie. Była bardzo zadowolona ze swojego płaskiego brzucha. Wszystkim dziewczętom w szkole, nawet Linny, brzuchy odstawały, chociaż większość z nich była szczupła. Meg mocno wciągnęła swój. Stała bokiem i wykrzywiła nogi. W okolicy kolan zbiegły się ku sobie i Meg nigdy nie mogła się zdecydować, czy wolałaby, żeby były proste, czy takie wygięte. Nagle miękka futrzana kulka otarła się o jej nogi.

- Prowlie, kochanie! Mój angorski kocie! W sam raz na wspólną kąpiel.

Podniosła go do góry. Był ocieźały, bez sił, ale czujny i nie bardzo uszczęśliwiony perspektywą kąpieli. Prowlie był niezależny i okazywał swoje uczucia tylko wtedy, kiedy chciał. Jednym skokiem znalazł się daleko od Meg. Potrząsnął łapami z pogardą, a futro zaczęło mu się iskrzyć ze zdenerwowania.

Margaret usłyszała, jak woda spływa do wanny. Wiedziała, że Linny już się wyniosła. Przebiegła nago przez korytarz i wśliznęła się do łazienki. W całym pomieszczeniu unosiły się obłoki pary, tak że widziała tylko kontury stojących w nim sprzętów. Zebrała warkocze razem, przeciągnęła po nich szczotką do zębów i spięła na czubku głowy. Weszła do wanny, która była dość długa i dawała pełen komfort. Woda leciała cały czas. Meg siedziała w niej przeszło dwadzieścia minut obserwując kolana, które były okrągłe, a nie kanciaste jak u chłopców. Pociągnęła gąbką wokół wanny i wyszła z wody.

Podczas kolacji zebrała się cała rodzina: państwo Mitchel, dwie dziewczynki oraz przyjaciel rodziny, którego wszyscy na jego prośbę nazywali Tommy. Był poetą i autorem sztuk teatralnych. Niepowodzenia spotykały go tak często, jak i sukcesy i może dlatego przez całe życie towarzyszyła mu swoista melancholia.

Przy kolacji rozmawiał z dziećmi na temat bajek, które dziewczynki traktowały bardzo poważnie.

- Bajka, którą przeczytałem, nie jest typowa, taka jaką możecie przeczytać w każdej książce. Bohaterami jej są ludzie wielkości małego palca...

- Ten, którego ja widziałam, wyglądał zupełnie inaczej - powiedziała nagle Linny, objadając się groszkiem.

- A właśnie, że tak. Tak wyglądają! - Tommy był zirytowany tym, że ktoś taki jak Linny może mieć w ogóle coś do powiedzenia na ten temat. Linny nie ustępowała:

- Mój jest taki jak połowa mnie, brązowy. Przychodzi co rano.

- Cóż, moje czarują - odrzekł Tommy, tym razem stanowczo. - Jeśli posłuchasz, zamiast cały czas gadać, to ci o nich opowiem. - Wydawało mu się, że w ten sposób zamknie Linny usta i kontynuował swoim spokojnym głosem: - To są bardzo mądry ludzie, bywają okrutni, ale tylko dlatego, że to my nie potrafimy ich zrozumieć.

Linny zaczęła paplać dalej, raczej w próżnię.

- Widuję go każdego ranka, zanim przyjdzie do mnie niania.

Państwo Mitchel poczuli się zakłopotani. Chcieli rozmawiać o rzeczach, które interesowały ich doży bardziej niż bajki. Meg zapytała:

- Czy naprawdę go spotykasz, Linny? Przysięgnij na Boga!

Tommy poczuł się pokonany. Dołączył do rozmowy dorosłych.

Po kolacji pan Mitchel zwykle czytywał na głos poezję, oczywiście męską, ewentualnie Biblię. Zawsze znajdował się ktoś, kto w pewien sposób był zmuszony do słuchania. Margaret lubiła to, jednak dzisiaj powiedziała rodzicom, że musi odrobić lekcje i zapytała, czy może iść do siebie. Pan Mitchel był z lekka zirytowany, kiedy matka powiedziała do niej:

- Oczywiście, kochanie, rzeczywiście źle wyglądasz. Połóż się spać, lekcje zrobisz rano.

- Może... Zobaczę. Dobranoc mamo, tato. Dobranoc, Tommy!

Pobiegła po schodach do swojego pokoju, zamknęła drzwi i przekreśliła klucz w zamku. Zachowywała się tak, jakby chciała ukryć jakiś sekret albo wielką zbrodnię. Podeszła na palcach do biurka. Było nieduże, miało pochyły blat i mnóstwo szufladek. Otworzyła jedną z nich i wyjęła wycinek z gazety, który zawierał zdjęcie nagiego trzynastoletniego chłopca i krótką notatkę:

Tubylcy z L. na Swahili w zeszłym tygodniu przeżyli szok: Podczas polowania na lwy, które zagrażały stadom ich kóz, odkryli coś, co przypominało ludzkie dziecko. Było niesione przez ogromne zwierzę, na które polowali. Chłopiec nie umiał mówić, potrafił jedynie warczeć. Biegał na swoich czterech kończynach tak szybko, że tubylcom z trudem udało się go otoczyć. Najprawdopodobniej zaraz po urodzeniu został zagubiony gdzieś w dżungli i znalazł drogę do jaskini lwów. Żywił się surowym mięsem, co zapewniło mu niezwykłą u człowieka siłę i zwinność. Dla ustalenia jego tożsamości i stanu zdrowia odesłano go do szpitala w M.

Meg знаła ten tekst na pamięć, ale czytała go wciąż, żeby przypadkiem nie uronić słowa. Zazdrość targała jej duszą. „Och, żeby być tym chłopcem! Co za wspaniały los czekałby istoty ludzkiej, które zanoszono by po narodzinach do lwich grot!” – myślała. Z pasją przeczytała „Księgę Dżungli” Kiplinga, przebrnęła nawet przez niekończące się przygody Tarzana, chociaż wydawały się nierealne. Ale to było coś innego. Czysty fakt. Gdzieś tam, pomiędzy parującą winoroślą mały chłopiec ssał lwie sutki. Szamotał się i bawił ze swoimi leśnymi braćmi i siostrami, uczył się polować i zabijać.

Nie, to nie było gdzieś daleko, to nie był mały chłopiec, to ona, Meg siedziała tutaj w swoim pokoju.

Wyobrażała sobie żółtą głowę lwicy i miękkie lwiątko w jej legowisku, czuła woń mleka płynącego z jej sutków, mleka o niewiarygodnym smaku. Miała w sobie taką moc, jakby gotowała się do skoku. Poczowała w nozdrzach zapach krwi. Miała białe i ostre zęby, wyostrzony słuch.

„Jest już za późno” – pomyślała schodząc na ziemię. – „Mam już dwanaście lat i straciłam szansę przyjścia na świat w dżungli albo chociaż w lesie”

Zgasiła światło. Podeszła do okna i usiadła na kaloryferze. Na dole ślizgające się na rzece światła mknęły nie wiadomo gdzie, ku swojemu przeznaczeniu. Ponury łomot holowników przeszywał jej serce raz za razem. Zapomniała o Ellen, o chłopcach znad rzeki, o rodzinie, nawet o gazetowym wycinku. Młodzieńcza nostalgia wygoniła z jej mózgu wszystkie myśli. Czuła się jak rozbitek na morzu, który nawołuje

o pomoc. Ogarnęła ją tęsknota, pragnienie kogoś, czegoś, co było tak daleko i zniknęło w mroku na zawsze.

Kto wie? Może któryś z tych statków nie jest na właściwej drodze. Ale one płynęły dalej, nie zwracając uwagi na Meg.

„Zatrzymajcie się! Weźcie mnie ze sobą, nie chcę tu zostać! Chcę płynąć z wami!”

Syreny statków wyły już gdzieś dalej, niepomne krzyków Meg, aż wreszcie ich światła zgasły w ciemności.

Rozdział IV

Był niedzielny poranek. Tracy obudziła się i zaczęła się przeciągać. Jej czarne włosy opadały na twarz. Zmrużyła oczy pod wpływem blasku słonecznego i odwróciła głowę w drugą stronę. Pora wstać! Miała dzisiaj kilka wizyt, poza tym, jak zwykle w niedzielę, spotykała się z Eddym. Nawet jeśli nie było pomiędzy nimi poważniejszych uczuć, tworzyli całkiem zgraną parę.

Gałęzie drzew rosnących wzdłuż ulicy łagodnie falowały na tle czystego nieba. Kościelne dzwony zdawały się nawoływać: „Chodź-cie – wszys-cy, chodź-cie –wszys-cy!” Bez skutku. Wydawało się, że ich dźwięki znikają gdzieś w górze, jednak ludzie wyglądali na szczęśliwych, przechadzając się przed kościołem w swoich odświętnych ubraniach.

„Powinnam chodzić do kościoła” – pomyślała Tracy. Nagle uświadomiła sobie, że jest aż pięć przyczyn, dla których byłoby to niewykonalne. Opuściła stopy na podłogę. Koszula nocna podniosła się do góry, odkrywając jej ciemne owłosione nogi. Czasami goliła je do wysokości kolan, wyżej się już nie opłacało. Włosy odrastały tam bardzo szybko, sztywne i poskręcane niecierpliwie pięły się ku trójkątnej dżungli. Wygląd nie miał dla niej dużego znaczenia. Była dość tęgą kobietą w średnim wieku. Z natury szczerą i otwartą. Poza tym w jej fachu były rzeczy ważniejsze od urody.

Włożyła sweter koloru czerwonego wina i brązowe, opięte spodnie. Zeszła na pierwsze piętro. Miała zamiar napić się kawy z właścicielką

domu, tak jak to robiła codziennie. Gospodyni była już stara, ślepa, samotna i Bóg wie jaka jeszcze. Idąc do niej, Tracy zobaczyła odźwiernego Godwyna, który zmywał podłogę w korytarzu. Był szczupłym, niskim mężczyzną, jednak niewiarygodnie silnym jak na swoją filigranową budowę. Zawsze mówił do siebie przy pracy, bluźniąc przy tym okrutnie. „Szkoda – pomyślała – że marnuje tyle energii dla tak marnego celu.”

Miała rację. Podłoga i tak nie będzie czysta, bo szmata, szczotka, woda, których używał, były czarne od brudu. On sam uchodził za brudasa. Plamy od potu na czole i od śliny w kącikach ust stanowiły jedyne miejsca na twarzy, w których widoczny był kolor jego skóry, całą resztę pokrywał węglowy pył pochodzący z piwnicy, w której mieszkał.

Kiedy przechodziła, krzyknął:

– Sie masz Tracy! Co, do cholery, przygnało tutaj twoje wielkie stopy, żeby brudzić moją podłogę?

W jego głosie nie było złości. Zawsze ją tak pozdrowiał.

Małżeństwo z pierwszego piętra wyszło, trzymając się za ręce. On był malarzem i może dlatego zawsze opóźniali się z płaceniem czynszu. Gospodyni nie lubiła ich, chociaż byli uprzejmi i jak prawie wszyscy mieszkańcy tego domu, nie wtykali nosa w cudze sprawy. Właścicielka nienawidziła swoich lokatorów i gardziła wszystkimi. Nie interesował jej ani handlarz antyków z poddasza, amator wieprzowych kotletów, ani spiker radiowy z drugiego piętra, którego głos słyszano pięć razy na dzień, nawet ta dziwna dziewczyna, która pisywała krótkie opowiadania do ekskluzywnych magazynów.

Utraciła wzrok dziesięć lat temu. Zanim to się stało, prowadziła pensjonat pierwszej kategorii dla kawalerów o spokojnym usposobieniu, posiadających konta w bankach. Sama nie wiedziała, dlaczego ranga jej domu tak się zmieniła. Czyż nie był usytuowany w dobrym miejscu? Czyż nie urządziła go stylowymi meblami, dywanami i ozdobnymi kotarami? Stale o tym pamiętała i co pewien czas powtarzała Tracy: „Mam nadzieję, że dbasz o moją mahoniową komodę. Chyba nie jest jeszcze podrapana? Jest taka piękna! To empir.”

Tracy domyślała się, że chodzi jej o pokiereszowaną szafkę z szufladami bez uchwytów. Jedna z jej nóżek kiedyś odpadła i teraz

zastępował ją klocek z drewna, który Godwyn przyniósł z piwnicy. Zresztą tak było ze wszystkim. Właścicielka wciąż poruszała się w świecie luksusu sprzed dziesięciu lat. Dzięki Bogu nie miała szans na skontrolowanie obecnego stanu rzeczy.

Tracy szybko wróciła do siebie. Po chwili usłyszała dzwonek.

- Zaraz! - krzyknęła niecierpliwie i mruknęła pod nosem: - Cholera! Kogo diabli niosą tak wcześnie!

Otworzyła drzwi i zobaczyła młodego chłopca, praktycznie jeszcze dziecko. Miał rude włosy i brązowe oczy. Widać było, że nie czuł się pewnie. Wyglądał tak, jakby cała krew spłynęła mu do twarzy.

- Panna Tracy? - zapytał.

- Tak. O co chodzi?

Stał w progu i nie odpowiadał. Teraz z kolei zbladł. Ta cisza doprowadziła ją do szału.

- Do diabła, wynoś się stąd! Nie przyjmuję nikogo bez zapowiedzi! W dodatku nie cierpię bachorów!

Zacisnął usta i odpowiedział z uporem:

- Powiedziano mi...

- Nie obchodzi mnie, co ci powiedziano. Wynoś się!

Chłopak tkwił w drzwiach jak kukła. Wtedy Tracy krzyknęła:

- Godwyn, chodź tutaj i zabierz go! Godwyn zjawił się natychmiast.

- Hej ty! Zmykaj stąd natychmiast! Myślisz, że można tak bezkarnie przeszkadzać ludziom?

Wziął chłopaka za kark, gwałtownie nim potrząsnął i wyrzucił za drzwi.

Jack maszerował powoli, starając się nie myśleć o niczym. Stał dłuższą chwilę przed budynkiem i obserwował swoje nogi, tak jakby oglądał je pierwszy raz. Zagryzł wargi. Uświadomił sobie, jak wielka pustka wypełniła jego duszę. Jeszcze nic straconego! Wziął głębszy oddech i poczuł, jak w żyłach pulsuje mu krew. W pewnej chwili minął go tegi mężczyzna w okularach.

Godwyn pojawił się w drzwiach piwnicy ciągnąc za sobą nieduży wózek - kilka zbitych do kupy desek ustawionych na kółkach od wrotek. Wrzasnął radośnie do Jacka:

- To jest mój drewniany furgon! Mam u siebie pełno drewna. Kradnę je w muzeum, tam na dole - przerwał na chwilę, po czym dodał:

- Powiedz, czego tu szukasz? Nic tutaj nie ma. Co, nie chciała cię?... - Splunął. - Dostaje dziesięć dolarów za numer, stara dziwka!

Jack odwrócił się, nie racząc odpowiedzieć. Mały człowieczek dreptał obok niego, ciągnąc swój wózek.

- Tak, mój drogi! - kontynuował. - Weź to sobie do serca i zostaw ją w spokoju. Wiesz, ile mam lat? Sześćdziesiąt pięć i nigdy się źle nie czułem. Raz w życiu bolało mnie ucho, ale wsadziłem do niego kawałek czosnku i na tym się skończyło. Nigdy nie miałem kobiety i radzę ci trzymać się od nich z daleka. - Znów przerwał i zamyślił się. Metalowe kółka ostro piszczały, a on mówił dalej: - Zapasy? Tak, to jest dobre! Zapasy, gdzie jest dużo krzyku. To lubię!

Wielki gil zawisł mu na końcu nosa i nie zanosił się na to, że skapnie.

- Chcę dzisiaj złapać mnóstwo desek, zrobię cholernie duże ognisko i całe to zawszone miejsce puszczę z dymem!

Obrócił wózek i skierował się w stronę muzeum. Gil wisiał dalej. Jego twarz, chociaż pokryta warstwą kurzu, w słońcu wydała się blada, jasne rzęsy tym bardziej to podkreślały.

Jack przeszedł na Piątą Aleję. Był na mszy wcześniej rano i dlatego teraz nie czuł wyrzutów sumienia, obserwując tłumy wiernych wracających z kościoła do domu.

Żałował, że już nie może śpiewać w chórze. Zawsze lubił, gdy jego głos podnosił się wysoko i gwałtownie opadał, zwłaszcza w pieśniach religijnych. To było coś innego od jego ziemskiego, piegowatego jestestwa. Wyżej, wyżej! W każdą niedzielę i środę unosił się gdzieś ponad światem. Szybował myślami, zostawiając na ziemi czysty i trochę przyciasny garnitur, księdza, ojca i coraz większą biedę w domu. Czuł się wolny. Należał wtedy tylko do siebie. Do siebie i do Boga. Łączyła ich wtedy niewidzialna więź. Teraz to się skończyło. Dojrzewanie zabrało mu tę możliwość na zawsze.

Szedł powoli, nie wiedział, co zrobić, dokąd pójść. Grupa starszych dziewczyn o jasnych włosach zachichotała, kiedy przechodził:

- Cześć, Marchewka!

Spojrzał na nie przeciągle i chłodno.

„Dziewczeta, jakież są głupie, zupełnie jak kury!” - pomyślał. Stwierdził, że czas pójść do domu na obiad, jednak ta myśl nie

przyniosła mu zadowolenia: Ojciec z ostrymi jak szczotka wąsami, wielkimi stopami, wiecznie zamyślony nad niedzielną gazetą. Matka z czerwonymi rękami, ciągle pracująca w kuchni.

Nagle dopadła go przerażająca myśl. Czy jego matka była też kiedyś jedną z takich dziewcząt, czy też miała falujące włosy i krótkie, szybkie nogi? Teraz była taka cicha i zrezygnowana. Ciągle tylko robiła coś do jedzenia, a wszystkie jej posiłki zjadano bez entuzjazmu. Dlaczego zdecydowała się żyć z takim nieszczególnym facetem? Pomyślał o ojcu, o jego wąsach i tłustym karku. Poczuł, jak skacze mu puls, że drży na całym ciele, nawet na czubku rudej głowy.

Obrócił się na pięcie i zaczął iść z powrotem. Niemalże biegł. Kiedy przybył pod numer piętnasty, dyszał ciężko, a jego palec drżącym ruchem nacisnął klawisz z napisem „Tracy” Czekał bardzo długo. Wreszcie usłyszał kroki i jakiś cichy pomruk. Otworzyła drzwi, a wtedy on zapytał:

- Czy jesteś ciotką Giovanniego?

- „Kurwa mać! Jeżeli ten dzieciak nie przestanie mnie nachodzić...

„- pomyślała i głośno dodała: - Tylko dlatego, że pomogłam Sis przyjechać tutaj, cała ta cholerna rodzina chce mi pomagać, ale chyba w wyniesieniu się stąd.

Była zła, ale Jack wyczuł w jej głosie nutę słabości i instynktownie zrobił krok naprzód. Spojrzał na jej brzydką twarz, na tłusty nos i uśmiechnął się.

- No włącz! - powiedziała. - Jeśli to jest to, czego chcesz... I tak kiedyś będziesz tego chciał, a im później, tym gorzej.

- Dzięki - jego głos znów był wysoki. Zaklął w duchu.

- Musisz chwilę zaczekać. Zawołam cię, jak będę gotowa. Siadaj tutaj na krześle i proszę, nie miej takiego głupiego wyrazu twarzy!

Podeszła i spojrzała na niego z bliska.

- Słuchaj, chłopie! To nic takiego, uspokój się! Nie chodziło o to, co mówi i jak wygląda, było w jej osobie coś przyzwoitego. Odprowadził ją wzrokiem. Chwilę później po schodach zbiegł ten sam nerwowy, pulchny facet, którego widział wcześniej. Teraz miał na twarzy dziwny, leniwy wyraz. Nagle Jack usłyszał głos Tracy:

- Hej, mały!

Znów poczuł przyśpieszone tętno i z trudem wszedł na górę. Kiedy znalazł się w pokoju, zobaczył jej pełne piersi koloru bursztynu. Musiał mocno zacisnąć pięści, w przeciwnym razie mógłby w coś uderzyć, wykonać salto lub pokazać jej jak wspaniale potrafi gwizdać na dwóch palcach. Ona powoli ujęła jego dłoń i położyła sobie na piersi. Drugą ręką rozpiniała guziki przy jego rozporku. Stała tak blisko, że czuł, jak jej brzuch i uda napierają na jego drobne chłopięce kości. Wydawało się, że jest czysta, a jednak poczuł dziwny odór, który wydawało jej ciało, przesunął nadal mocno zaciśnięte pięści niżej, w ciemną otchłań pomiędzy jej uda. Czuł się tak, jakby podróżował pociągiem i właśnie minął tunel.

- Chodź - powiedziała. - Nie bój się.

Jej głos był tak niski, że wydawało się, iż płynie właśnie stamtąd, z tej ciemnej otchłani.

Kiedy Jack był już gotowy do wyjścia, położył dolara na stoliku przy łóżku. Wydawało się, że Tracy tego nie zauważyła. Powiedziała:

- No, teraz już wszystko wiesz. Nie wracaj tutaj więcej, słyszysz? Jeżeli dasz mój numer swoim kumplom, to osobiście zejdziesz na dół i przetrączę ci kark! Powiedz to samo Giovanniemu!

Wypchnęła go za drzwi. Swojego dolara znalazł w kieszeni płaszcza.

Z okna piwnicy, która w rzeczywistości była składem węgla, obserwował go Godwyn.

- Cholerna, stara dziwka. - Zaklął.

I nagle zapłakał. Jego własny członek wisiał beznadziejnie między nogami.

Rozdział V

Meg i Ellen wkrótce zostały przyjaciółkami. Na początku, kiedy wydawało się, że trąbka zawiodła, panny Drew i Lindbergh, a może i nawet sam Bóg poczuli się usatysfakcjonowani. Teraz jednak zażyłość dziewcząt była silniejsza od więzów krwi. Okazywały ją wszystkim wokół. Ławki, które oddzielały je od siebie, były barierą nie do

zniesienia, a lekcje, które odbywały osobno, wydawały się takie nudne! Ich szepty, chichoty i sekrety często denerwowały otoczenie, a szczególnie pannę Otis. „Młode dziewczęta zawsze są takie – myślała. – Ellen robiła to samo z Mi-mi” Jednak po chwili jakaś nieodparta siła krzyczała w jej mózgu: „Nie! Nie mogę na to pozwolić! Muszę je rozdzielić! Koniec z ich szeptami, uśmieszkami, dosyć tych twarzyczek wypełnionych uwielbieniem, dosyć słodkich spojrzeń! Zdrada! Wszyscy są zdrajcami! Nagle, zamiast tylko interesować, cała ta niewinna przyjaźń dwóch dziewczynek, zaczęła ją pociągać. Co więcej – myśl o nich wypełniała ją i przenikała do szpiku kości.

„O czym tak szeptali? – męczyła się dalej. – Czy rozmawiali o mnie w zły sposób?”

Zobaczyła w koszu na śmieci rysunek. Gdy go obejrzała, zadrżała od stóp do głów.

„Robota Phrosso! Nie ma wątpliwości! Tylko ona ma czerwony atrament!” – pomyślała.

Najprawdopodobniej obiegił całą klasę, bo widniały na nim dopiski zrobione długopisem i czarnym piórem.

Usiadła za swoim biurkiem i przesiedziała tak całą przerwę, rezygnując z wyjścia na papierosa do pokoju nauczycielskiego.

Z wściekłości zmiotła rysunek w rękę.

„Potwory, diabolic!” – przebiegł jej przez myśl.

Zbierało się jej na wymioty. Najgorsze z tego wszystkiego było uczucie palącego wstydu, które nią owładnęło.

„Ciekawe, co dorysowała Meg?” – zastanawiała się gorączkowo. Była w błędzie. Ani Meg, ani Ellen nie brały w tym udziału. Nawet gdyby wiedziały o całym spisku, zignorowałyby go całkowicie. Faktem było, że nie rozmawiały o pannie Otis. Wystarczyło to, że codziennie w szkole musiały na nią patrzeć. Meg nie wiedziała, czy panna Otis jest brzydka czy ładna. Z kolei Ellen zawsze powtarzała: „Panna Otis? Cóż, wygląda jak wszystkie nauczycielki, ma zawsze brązową lub różową garsonkę.”

Bynajmniej, panna Otis wyróżniała się wyglądem. Była delikatna i szczupła, choć może trochę za bardzo kołysała biodrami. Nos miała wąski i lekko zakrzywiony, a jej duże szaroniebieskie oczy mogły nawet uchodzić za piękne, gdyby nie były otoczone zmarszczkami. Należała do gatunku tych kobiet, które gdyby ktoś się nimi zajął, stałyby się

pociągające i piękne. Nigdy się jej to nie zdarzyło i może dlatego czuła się osamotniona i skrzywdzona przez los.

Rzadko kiedy przejmowała się swoim wyglądem, zresztą jak wszyscy nauczyciele. Dbała tylko o to, żeby jej strój był schludny i nieekstrawagancki.

Do dzisiaj pamięta, jak bardzo zraniła ją reakcja Margaret, wtedy w łazience. Pokierowała się wówczas daleko idącą intuicją nie wiedząc, że dziewczynka wzdrygnęła się od kwaśnego, nieprzyjemnego zapachu, jaki wydzielała, zapachu dojrzałej kobiety.

Nie, panna Otis nigdy nie stanowiła problemu dla Meg, która zresztą niczym się nigdy nie przejmowała.

Jeśli chodzi o Mi-mi, to po incydencie z trąbką nie pozostawało jej nic innego, jak odejść, zniknąć, tak jak ludzie na ulicy, których widzi się przelotnie i zaraz o nich zapomina. Teraz zaczęła zadawać się z Lindberghiem, lotnikiem – legendą, wielkim bohaterem, który był aktualnie przyjacielem jej rodziców i zasiadł do obiadu wraz z jej rodziną. Jego samolot stał za domem państwa Longstreth, na wielkim polu. Mi-mi twierdziła, że w każde niedzielne popołudnie zabierają do samolotu. Chwaliła się tym wszystkim, nawet w szkolnej mównicy.

Panna Drew, która opiekowała się dziewczętami w szkole była zdania, że każda z nich powinna umieć wypowiadać się publicznie, jeśli zajdzie taka potrzeba. Dlatego raz w tygodniu cała szkoła – około dwustu dziewcząt w wieku od sześciu do czternastu lat – maszerowała do sali zebrania, gdzie przez trzy kwadranse dziewczęta słuchały, jak ich koleżanki opowiadają o bieżących wydarzeniach ze swojego życia. Zamiast tego mogły recytować wiersze (Meg robiła to zawsze), a kiedy zawodziła je pamięć, były przepytywane z tabliczki mnożenia. Czerwieniły się przy tym i zastanawiały przy wypowiedziach. Panna Drew uważała, że prosta arytmetyka jest dobra na wszystko.

Dziewczęta przeszły do auli i usiadły na rozkładanych krzesłach. Ktoś grał marsza na pianinie, żeby wyrównać ich powolne kroki. Panna Drew stojąc na podwyższeniu, zacisnęła zęby, gdy usłyszała pisk dwustu rozkładanych krzeseł i spojrzała z góry na swoje audytorium.

„To moja praca – pomyślała. – Te dzieci są bardziej moje niż swoich rodziców. Kształcę je, ubieram. Tchnęłam w nie życie, dałam im dusze!”

W pewnym sensie miała rację. Rzeczywiście je ubierała. Wszystkie nosiły bluzy koloru tabaki, z niedużym kołnierzykiem, zapinane na guziki, niebieskie kolanówki, które ciągle opadały. Na to wszystko zakładały niebieską plisowaną tunikę, którą zdejmowały na czas udziału w grach. Strój wieńczył czarny, jedwabny krawat. Wszystkie musiały wyglądać tak samo. Nie tolerowała żadnej indywidualności. Panna Drew zmarszczyła brew na widok Meg. Dziwni ci Mitchelowie, nie potrafiła ich zaakceptować. Przede wszystkim ich starsza córka była za niska jak na swój wiek, blada i szczupła, wydawało się, że jest niedożywiona. To było nie do przyjęcia! Przecież jej rodzina była dobrze sytuowana! Pozwolili sobie przecież na bardzo dobrą szkołę. I jeszcze coś: podczas gdy zatrudniali pielęgniarkę dla Linny, która ją przyprowadzała i odbierała ze szkoły, Meg pozostawała bez żadnej opieki. Pan Mitchel co roku w rozmowie z dyrektorką usprawiedliwiał się, że chce wychować swoje dzieci na samodzielne osoby. Wyjaśniał, że wszyscy z rodziny Mitchelów rośli powoli. Mówił to z przechwałką w głosie, z wysokości swoich sześciu stóp, ale panna Drew i tak mu nie wierzyła. Przypuszczała, że wzrost Meg jest wynikiem nieunormowanego trybu życia. Nie było też żadnego usprawiedliwienia dla sposobu, w jaki się ubierała: krótkie spódnice, krawat, jeśli w ogóle go nosiła, był wymięty i krzywo zawiązany. Do tego wszystkiego chłopięcy, skórzany pasek, mocno ściśnięty w talii i wepchnięty za niego myśliwski scyzoryk, wielki jak szabla. Będzie się musiała tym zająć.

Jej rozważania przerwały okrzyki dziewcząt. Rozmyślając, nie zwróciła uwagi na te, które miały przemawiać. Dopiero teraz zauważyła Mi-mi Longstreth wchodzącą na mównicę. Jej rodzina była zamożna, prawdziwi milionerzy i Mi-mi (cóż za imię!) wszystkim to okazywała. Była, tak jak pozostałe, ubrana w mundurek, jednak na ramiona zarzuciła upiorne futro z lisów i połyskiwała diamentami na pulchnych dziecięcych palcach.

Panna Drew nie akceptowała jej wyglądu, bardziej nawet od wyglądu Meg.

Mi-mi zaczęła:

- To, co chcę dzisiaj powiedzieć jest... to jest... to znaczy mam na myśli ostatnią niedzielę. Latałam z Lindberghiem jego samolotem.

Przez salę przebiegł szmer podziwu. Nawet panna Drew poczerwieniała.

- To bardzo interesujące, Mi-mi. Opowiedz nam o tym dokładnie. Zanim jednak coś powiesz, uporządkuj to sobie w myślach.

- Tak. To było bardzo podniecające, oczywiście najpierw się bałam, ale potem było cudownie. Lataliśmy pół godziny, a potem wylądowaliśmy za domem... tam jest pole.

To było wszystko. Mi-mi się ukloniła i rozległy się oklaski. Wróciła na miejsce obrzucana spojrzeniami pełnymi podziwu i zazdrości. Następnej dziewczynce stremowanej aplauzem, jaki zdobyła Mi-mi, pozostała tylko tabliczka mnożenia.

Dwa dni później Ellen i Meg odbywały razem lekcję stolarstwa. Meg pracowała nad żaglówką, Ellen nad teatrykiem. Stały przy specjalnym stole, jedna obok drugiej, każda zajęta swoją pracą. Ellen, gdy nad czymś się skupiała, miała nawyk opuszczania dolnej szczęki. Teraz właśnie to zrobiła, piłując zawzięcie kawałek drewna, z którego chciała zrobić trójkątny daszek.

Na początku rysowały wzór na kawałku drewna. Robiły to same albo przy pomocy panny Belmont. Ona robiła to lepiej, poza tym lubiła się zawsze czymś wykazać. Później, przy pomocy małych piłek, cięły drewno wzdłuż linii. Ellen zakładała na mundurek jasny fartuch, Meg oczywiście nie zakładała nic. Na czas zajęć kazano jej zostawić nóż w schowku i teraz odczuwała jego brak, strugając maszt z prostego kija. To miała być kopia żaglówki jej ojca. Wyobrażała sobie, jak wielką radość sprawi rodzicom, ofiarowując im ten model.

Mimo, że Ellen i Meg stały blisko siebie, nie rozmawiały. Jedna opuściła szczękę jak buldog, a druga zmarszczyła brwi. Dookoła panował gwar, padały pytania, słychać było śmiechy i przekleństwa. One dwie stanowiły wyjątek.

Nagle otworzyły się drzwi i dziewczętom ukazał się niezwykle widok: panna Drew obejmująca ramieniem Mi-mi. Mi-mi szlochała, skubiąc przy tym rąbek sukienki. Po chwili podniosła rękę i wytarła nos w rękaw. Ten brak pohamowania uzmysłowił wszystkim jej rozpacz, nikt nie przypuszczał, że może popełniać takie gafy. Panna Drew podniosła głos:

- Dziewczęta, proszę o ciszę!

Głosy umilkły.

- Mi-mi chciałyby wam coś powiedzieć.

To imię, odpowiednie raczej dla francuskiego pieska, zabrzmiało w ustach panny Drew tak, jakby było naprawdę nie na miejscu. Wydawało się, że czas stanął w miejscu, a może ruchy Mi-mi były tak powolne w oczach zdziwionej i zaintrygowanej klasy.

Schowwała ręce w niebieski materiał swojej tuniki. Musiały być mokre od potu, bo zostawiły duże plamy na spódnicy. Kilka razy podniosła rękę, by wytrzeć czerwony nos, na ręce pozostawały ślady smarków. W końcu, nie podnosząc głowy, Mi-mi powiedziała:

- Nigdzie nie byłam z Lindberghiem, kłamałam.

To wszystko. Potem chodziła do innych klas, gdzie powtarzała to samo. Dzieci stały najpierw oszołomione, ale po chwili zaczynały hałasować. Nauczyciele, zakłopotani i zawstydzeni, nie próbowali tego powstrzymać.

Meg obróciła swój w połowie ukończony maszt, w sercu poczuła wielką radość. Przez chwilę w ciszy upajała się swoim szczęściem, podczas gdy Ellen cicho płakała. W końcu Margaret wykrzyknęła triumfalnie:

- Widzisz! Teraz już musisz być moją najlepszą przyjaciółką!

Ellen na znak zrozumienia kiwnęła tylko głową.

Rozdział VI

W tym gwałtownym związku dwojga dziewcząt było coś, czego nie przeżywały razem: Meg nigdy nie opowiadała Ellen o chłopakach z nad rzeki i o Jacku. Ellen obracała się w świecie guwernantek, dużych luksusowych samochodów, a nie wrotek i brudnych twarzy. Należała do romantycznej krainy swoich marzeń. Meg nie umiała jej powiedzieć o ukrytym w domu, dla niej tak cennym, wycinku prasowym. Czasami miała to już na końcu języka:

- Ellen, wiesz co?

- Co?

- Nie, nic.

Zawsze się wahała. Nie była w stanie wyobrazić sobie Ellen biorącej udział w jej popołudniowych wyprawach. Bywało, że w szkole sama o nich zapominała. Kiedy jednak na lekcji ortografii poczuła świeży powiew wiatru z otwartego okna, zaczynała tęsknić do swojej wolności. Lekki wietrzyk muskał jej policzki, a potem szeptał coś do ucha. I wtedy Meg powracała myślami do wszystkich interesujących wydarzeń ubiegłego tygodnia.

Kilka dni przed zjawieniem się Jacka spotkała mężczyznę, który zjadł truciznę. Tego popołudnia tylko Mick, jego brat Danny i Josh siedzieli na skałach, kiedy Meg przybiegła do nich z tą fascynującą wiadomością.

- Skąd wiesz, że brał truciznę? - zapytał Josh.

Meg powiedziała natychmiast:

- Po prostu był otruty. Poza tym sam mi o tym powiedział.

Rzeczywiście mówiła prawdę. Przejeżdżała przez jedną z brudnych ulic, mijając baraki z węglem i obserwując stare kobiety zbierające węgiel powykręcanymi palcami. Kontemplując ich wygląd, wjechała prosto na zjadacza trucizny, którego nogi leżały wyciągnięte na chodniku.

- Przepraszam! - powiedziała podnosząc się z ziemi.

Po chwili dodała:

- Czy uderzyłam cię w nogę?

Mężczyzna nie odpowiedział. Wydawało się, że nic do niego nie dociera. Pomimo to wyczuwał jej obecność. Spróbował jej dotknąć, ale jego ręka beładnie łapała powietrze. Przeczłogał się w stronę ściany, w której brak kilku cegieł tworzył wnękę, o którą mógł się oprzeć. Miał błyszczące ubranie nieokreślonego kształtu i koloru. Pomiędzy jego rozrzuconymi nogami widniała wielka ciemna plama. Jednak najbardziej zdumiewająca była jego twarz: oczy, uszy i usta świeciły się z daleka i były obrzydliwie czerwone. Wyglądało to tak, jakby się palił, zupełnie jak budynek w ogniu. Kiedy znów wyciągnął w jej stronę dłoń, nie poczuła strachu. Coś jej mówiło, że ten człowiek nie zrobi jej nic złego.

- Hej! Jest tu kto? - roześmiała się nerwowo.

- Och... po prostu się zastanawiałem - wymamrotał.

Jego głos był zachrypnięty, wydobywał się z płuc jak dym z okopconego komina. Spróbował usiąść wyżej i wydawało się, że chce się skoncentrować. Kiedy się poruszył, Meg zauważyła małą puszkę z czerwoną etykietką.

- Co jadłeś? - zapytała, biorąc go za jakiegoś zwariowanego turystę.

Jego wzrok wędrował długo, zanim odnalazł najpierw dziewczynkę, a potem puszkę. Zmarszczył brwi i zmrużył oczy. Odezwał się sowym zachrypniętym głosem, tak jakby przemawiał do całego świata: - To trucizna.

Powrócił do poprzedniej pozycji.

Pojechała dalej. A więc ta mała, teraz już pusta puszką zawierała truciznę! Teraz wreszcie wiedziała, jak to wygląda. Słyszała o tym wcześniej, dwa lata temu, kiedy mieszkała u babci w jednym pokoju z Linnet.

To właśnie wtedy zauważyły niewielką kroplę na podłodze między łózkami. Kiedy obie obudziły się i zobaczyły to coś pierwszy raz, od razu wiedziały, do czego służy. Na szczęście nie były na tyle głupie, żeby w to wdepnąć, nawet przez pomyłkę. Wiedziały, że najdrobniejszy dotyk równa się śmierci. Co więcej, mimo że dzieci nigdy nie rozmawiały o tym z dorosłymi, służąca i niania o wszystkim wiedziały. Musiały wiedzieć, skoro obie omijały to z daleka. Kiedy wróciły po dwóch tygodniach, śmiertelnej plamy już nie było, lecz mimo tego niania kazała Linny przenieść się do drugiego pokoju. Tłumaczyła, że to przez zbyt długą drogę do łazienki, ale Meg i tak wiedziała swoje.

Pędziła wciąż na wrotkach, mijając most. Myśl o truciznie nie dawała jej spokoju.

„Kto mu to dał? Dlaczego to zjadł?”- zastanawiała się. - „Czy był po prostu głodny czy raczej fascynował się smakiem? Zresztą i tak umrze.”

Musiała szybko złapać chłopaków. Wiedziała, że to będzie jej zasługa, kiedy wróci tutaj z nimi i będą mogli wszyscy zobaczyć, jak ten facet umiera. Jack też to zobaczy i może wreszcie zrozumie, że Meg nie jest tylko jedną ze zwykłych małych dziewczynek, lecz kimś szczególnym, komu przytrafiają się nietypowe przygody. Jack był doskonały i chociaż jeszcze nie urósł, był już prawdziwym mężczyzną.

Był odważny, nie bał się strzelać z procy do żywego ptaka, jednak Meg nie była pewna, czy chciałaby być tego świadkiem. Patrząc na jego twarz, od razu widać było, że nigdy nie płakał. Był w wieku Josha. Meg lubiła i jego, ale zdawała sobie sprawę, że Joshowi daleko do bohatera.

Poczuła się rozczarowana, kiedy dotarła już na miejsce i nie zobaczyła Jacka. Josh w ogóle się nią nie zainteresował, a kiedy opisała mężczyznę dokładniej, wykrzywił usta i powiedział:

- Eee tam, pewnie znów jakiś stary pijak! Nie powinnaś rozmawiać z takimi ludźmi, nie są normalni.

- Nie był wcale pijany! - zaprotestowała. - Nie widziałam obok niego żadnej butelki. Nie śpiewał... Jadę tam z powrotem! Chcę popatrzeć, bo nigdy wcześniej nie widziałam trucizny. Kto chce jechać ze mną, niech się pośpieszy!

- Ja idę! - krzyknął Mick.

Pomyślał, że gdyby to była prawda, mógłby dużo stracić.

- Ja też! - powiedział Danny swoim dziecięcym, wysokim głosem i pociągnął Meg za poły płaszcza.

- Chodź, bo się spóźnimy!

- Nie, nie idźcie! - wyrwał się Josh, czerwony jak burak.

Meg zdziwiła się. Josh rzadko używał swojego autorytetu. Nikt nie zareagował. Josh znowu okazał zakłopotanie i niepewność. Jego ciemne oczy błędziły gdzieś daleko niczym dwa ptaki, które zgubiły drogę do domu. Wydawało się, że mówią: „To nie tutaj, nie możemy tu zostać. Znowu z nas drwią, to nie jest miejsce dla nas.”

Meg i Micky szli szybko w stronę płotu, który oddzielał ich od ulicy. Danny dreptał za nimi. Josh poderwał się, dogonił ich, chwycił Danny'ego za ramię i wrzasnął:

- Nigdzie nie pojedziecie, nie pozwalam wam! Danny rozdziawił usta i usłuchał. Meg i Micky

szli dalej. Na ulicy przypięli wrotki i pomknęli przed siebie.

- To nawet dobrze - powiedział Micky. - On nie ma wrotek, a ja nie cierpię jeździć tylko na jednej.

Zjechali z górki, minęli most, przyczepili się do ciężarówki, i po chwili, puściwszy ją, udali się w stronę przystani. Facet ciągle tam był. Plama między jego nogami robiła się coraz większa.

- Wróciłam - powiedziała Meg. - To jest Micky.

Mężczyzna podniósł głowę. W jego spojrzeniu było coś dzikiego.

- Macie trochę pieniędzy? - zapytał zachrypniętym, słabym głosem.

Meg pogrzebała w kieszeniach i wydobyla z nich piętnaście centów.

Mężczyzna lekko się podniósł.

- Co tam masz?
- Piętnaście centów.
- Wystarczy! - krzyknął.

Dzieciaki stały patrząc to na niego, to na siebie, gdy nagle z jego oczu popłynęły łzy.

- Musicie... to jest moje lekarstwo i muszę je mieć.

Meg z reguły była hojna. Już chciała dać mu pieniądze, ale nagle zacisnęła pięść.

- Nie - powiedziała.
- Proszę - powtórzył mężczyzna usiłując wstać.
- Nie, nie dam ci!
- Piętnaście centów wystarczy - mruknął do siebie.
- Naprawdę umrzesz? - wtracił się Micky.
- Czy umrę? Pewnie, że tak. Nagle ożywił się.
- Dlaczego? Każdy łyk jest gwoździem do mojej trumny. Już wkrótce będę kupą łajna - powiedział z satysfakcją.

- No tak, ale umrzesz już teraz?

Meg była zawiedziona.

- Wydaje mi się, że nie możemy już dłużej czekać.

Micky wcale nad tym nie ubolewał.

- On mi się nie podoba.

- Mnie też.

Odjechali bez słowa. Meg zaproponowała:

- Chodź, kupimy trochę czekolady.

Chciała wydać pieniądze jak najszybciej, żeby tylko nie oddać ich temu dziwnemu człowiekowi.

- Tutaj niedaleko jest sklepik. Widziałam go, kiedy tu ostatnio przejeżdżałam.

Chociaż zima się już skończyła, a słońce świeciło przebijając się przez chmury, na ulicy panował kompletny mrok. Tylko jeden niewielki promyk połyskiwał, odbijając się od rynny, jednak nie był w stanie

ukryć brudu, jaki panował wokół. Pomiedzy sąsiadującymi piętrami rozwieszono pranie, które przypominało raczej brudne szmaty. Ani Meg, ani Micky nie zauważyli ubóstwa tego miejsca, oboje przywykli do takiego widoku. Chcieli jak najszybciej dostać się do Woolwrotha. Wjechali do środka na wrotkach.

– Gdzie są cukierki? – zapytał Micky jasnowłosą dziewczynę z działu jubilerskiego.

– Do tyłu i na prawo – odpowiedziała nie podnosząc oczu.

Po drodze Meg zauważyła stertę puszek, dokładnie takich samych, jak ta, którą widziała u faceta na ulicy. Nie miała ochoty patrzeć tam po raz drugi. Wiedziała, że lepiej nie mówić o tym Mickowi.

Po chwili podszedł do nich jakiś mężczyzna. Był bardzo elegancki i może dlatego pomyśleli, że to pan Woolworth we własnej osobie.

– Hej, dzieciaki! Nie możecie tutaj jeździć na wrotkach!

– Ale my tylko chcieliśmy kupić cukierki – jęknął Micky.

Cofnął się, kucnął przy ladzie, odwrócił się i po chwili już go nie było. Meg stała niezdecydowana.

– Zmiataj stąd, bo zaraz zawołam gliny!

Wziął ją za ramiona i pchnął ku wyjściu.

– Hej, ty! Puszczaj, nie boje się policji! Nic nikomu nie zrobią, jeśli jest niewinny!

Była wściekła, czerwona i cała trzęsła się z oburzenia, mężczyzna powiedział:

– Dobrze już, bądź grzeczną dziewczynką i wyjdź!

Meg znalazła Mickiego na zewnątrz. Patrzył na nią z triumfem. Kiedy podeszła, podsunął jej torebkę z figami, którą zabrał z lady.

– Weź kilka.

Chciała to zrobić, ale zorientowała się, że przez cały czas ścisła w swojej dłoni monety.

– Idź, Micky. Za chwilę cię dogonię.

Nie czekając na odpowiedź czmychnęła tak szybko, że iskry poleciały spod jej wrotek. Kiedy otworzyła zaciśniętą dłoń zauważyła, że pieniądze były wilgotne od potu. Niemal rzuciła nimi w swojego znajomego zjadacza trucizny, kiedy już dotarła na miejsce, w którym siedział.

„Jednak nadal go nie lubię” – pomyślała zrezygnowana.

Rozdział VII

- Tak, masz rację. W ten sposób jest o wiele wygodniej.
- Jasne, że tak. Czy nie czujesz się silniejsza i bezpieczniejsza?

Musimy się nauczyć szybciej biegać, też w ten sposób.

Twarz Meg była czerwona, a żyły na jej czole miały kształt dużej, niebieskiej litery V.

Spotykały się w szkole bardzo wcześnie. Miały w tym swój cel, chciały poćwiczyć chodzenie na czworakach, ponieważ na wiosnę chciały przeistoczyć się w zwierzęta. Wszystko było pomysłem Meg. Wydawało się jej, że tylko w ten sposób mogła spełnić swoje marzenia.

Dyżurne pozwoliły im wejść i patrzyły teraz zrezygnowane na ich niecodzienne wybryki, jednak przyjaciółki były tak zajęte, że w ogóle nie zwracały na nie uwagi. Dotarły na czwarte piętro i wróciły na dół. Cały czas na czworakach.

- Masz pinezki? – zapytała Meg, kiedy schodziły na dół.
- Tak. Już teraz?

Usiadły na podłodze i zdjęły buty. W każdy obcas wbiły po cztery pinezki i założyły buty z powrotem. Wcześniej analizowały zachowanie wszystkich szybkich zwierząt i wiedziały, że potrafią one nie tylko poruszać się na czterech łapach, ale też nie dotykać stopami ziemi. Przeczytały, że jeleń, porusza się na czterech dobrze rozwiniętych kopytach.

- Może wyrosną nam kopyta... – rozmarzyła się Ellen.

Meg czuła, że to niemożliwe. Jednak z drugiej strony miała nadzieję, że tak się stanie.

- Tak – odparła – nasze stopy będą musiały urosnąć, wtedy będziemy tak szybkie jak wilki. A propos, czy jadłaś już surowe mięso?

- Tak. Co prawda M'ssell nie chciała na to pozwolić, ale ja chyłkiem zjadłam dwa plastry surowego bekonu.

- Surowe jest o wiele lepsze – stwierdziła Meg, czując nadchodzące mdłości.

- Kupiłam dzisiaj paczkę psich biszkoptów. Możemy je zjeść na przerwie.

Jakaś starsza dziewczyna mijając je krzyknęła:

- Hej, dzieciaki! Wynoście się stąd!

- Pocałuj nas w dupę! – odparowała Meg.

- Och, Meg! Zapomniałam ci powiedzieć: warczałam przez sen zeszej nocy,

- Ja też. To było takie naturalne! Obie uwierzyły sobie nawzajem.

Starsza dziewczyna cały czas się koło nich kręciła. Z dołu widziały jej długie nogi i jedwabne pończochy.

- Słuchajcie, wy dwie! Szkoła ma już dość waszych wybryków. Poza tym teraz jest samorząd i to właśnie on może was wyrzucić.

- W porządku, ale my rządźmy się same! – krzyknęła Meg nie podnosząc się z podłogi. – Twoje nogi są za grube od kolan w górę – dodała po chwili z odrazą w głosie. Dziewczyna zeszywniała ze złości i wstydu.

- Czy myślisz, że możemy zapuścić włosy, Ellen?

- Będziemy musiały, ale wtedy przestaniemy już nosić ubrania.

Meg wyobrażała sobie, jak po latach wróci z dzikiej dżungli do swoich rodziców i jaką im zrobi niespodziankę. Na pewno będą zaskoczeni, będzie przecież wyglądała zupełnie inaczej, już nie jak dziewczynka, ale dzika bestia. Powinna mieć ostre kły, czerwone oczy i być szybka jak wiatr. Nawet ojciec będzie się jej bał.

- Będziemy miały konie – szepnęła Ellen. – I jeśli tylko będziemy chciały, zawsze można będzie jeździć na nich wierzchem.

Obie poczuły ulgę, kiedy zadzwonił dzwonek ogłaszający modlitwy. Każdego ranka cała szkoła zgodnie maszerowała na modlitwę, tak jak na cotygodniowe odczyty. Różnica tkwiła w tym, że modląc się nikt nie zajmował krzeseł.

Panna Drew obserwowała wszystkich z góry, szczególną uwagę zwracając na czternasto i piętnastolatki, by sprawdzić czy żadna z nich nie używa szminki. Niczego takiego nie zauważyła, ujrzała jednak coś znacznie gorszego.

- Margaret Mitchel i Ellen Krane, idźcie przyzwoicie! – Jej głos zadźwięczał na tle poważnego marsza.

„Nie słuchają mnie” – pomyślała zaskoczona i jeszcze raz krzyknęła:

– Margaret, Ellen przestańcie szurać obcasami! Maszerujcie jak inne. Czy słyszycie?

Dziewczynki zarumieniły się, wzruszyły ramionami z zakłopotaniem, dalej jednak stawiały nieporadne kroki.

– Wystąpcie z szeregu! – zawołała rozkazująco. Muzyka ucichła, a pianista po cichu, na swoich gumowych podszewkach, wymknął się z sali. Panna Drew zeszła z platformy i podeszła do dziewczynek. Była bardzo zła. Wyglądała bardzo groźnie z zaciśniętymi ustami i potrząsając siwą głową. Stała naprzeciw Meg, położyła obie ręce na jej kościstych ramionach i gwałtownie nią potrząsnęła. Meg próbowała utrzymać równowagę, jednak nie udało się. Przechylając się do tyłu, głośno krzyknęła:

– Boże! Do diabła z tym wszystkim!

Panna Drew aż się zachłysnęła. Błuznierstwo! Nie mogło być niczego gorszego!

– Są dwie rzeczy święte w tej szkole: kraj i Bóg. Z tych dwóch Bóg jest najważniejszy, a ty przed chwilą wyparłaś się go!

– Nie wyparłam się! Poprosiłam tylko, żeby to wszystko przeklął.

Ellen śmiało przysła jej z pomocą.

– Tak, panno Drew. Zdarza nam się prosić o to Boga. Robimy to podczas modlitwy.

To wszystko dołało benzyny do ognia. Panna Drew odwróciła wzrok i zachowała się tak, jakby w ogóle ich nie dostrzegała.

– Obie zostaniecie natychmiast odesłane do domu – powiedziała. – Napiszę do waszych rodziców, żeby nauczyci was respektu. Margaret, ty będziesz mogła wrócić do szkoły dopiero pojutrze. Wiem, że masz w zwyczaju chodzić do domu pieszo, jednak tym razem zadzwonię po twoich rodziców i poproszę, żeby cię stąd zabrali osobiście. Teraz obie zejdziecie na dół i poczekacie.

Odwróciła się i odeszła. Meg i Ellen ruszyły za nią powoli i bezradnie. Zniknęły gdzieś dwie bestie, nie bojące się niczego, wściekle i dzikie. Pozostały dwie małe dziewczynki z pinezkami w butach, niezdarnie schodzące ze schodów.

M'ssell przyszła po Ellen pierwsza. Ubrana w czarny elegancki kostium i jeden ze swych dziwnych kapeluszy. Posłała Meg odpowiednie spojrzenie i powiedziała do Ellen z satysfakcją:

- Mówiłam ci, nie zadawaj się z chuliganami! Porozmawiam z twoją mamą.

- Moja mama zna matkę Meg. Powiedziała mi o tym wczoraj wieczorem i chyba podoba się jej to, że bawimy się razem.

- Dosyć! - ucięła M'ssell.

Meg została sama. Naprzeciwko niej stał aparat telefoniczny. Telefonistka stuknęła Meg w głowę i powiedziała:

- Twój ojciec będzie za pół godziny.

Nie wiedziała, dlaczego kazano jej wezwać rodziców dziewczynki i może dlatego była dla niej taka serdeczna.

Meg poczuła, jak w gardle rośnie jej lodowata bryła. Więc jednak był w domu. Nie poszedł do biura i przyjedzie, żeby ją zabrać do domu. Zaczęła się pocić, a jednocześnie przeszły ją ciarki. Spuściła głowę i uparcie patrzyła w dół. Nie mogąc znieść widoku swoich kolan, znów podniosła ją do góry. Zaczęła rozglądać się wokół, tak jakby szukała drogi ucieczki.

Telefonistka obserwowała ją cały czas. Po chwili podeszła i zagadnęła ją miłym, ciepłym głosem:

- Hej, skarbie! Co się stało? Coś nie tak w domu?

- Nie... nie... Dzięki.

Ile wysiłku kosztowało ją to nonszalanckie „dzięki.”

Kobieta stała jeszcze przez moment, potem odwróciła się i odeszła. Zadzwoniła do biura panny Drew.

Meg podkurczyła nogi i splotła ręce. Jakież to wszystko było okropne. Wydaje się, że wszystko jest w porządku: wstaje się rano, je śniadanie, drażni się z siostrą, idzie do szkoły. Jednak przez cały czas nad głową czuje się bat. Czy to się rzeczywiście wydarzyło? Czy to piekło, które się rozpętało, będzie jej kiedykolwiek wybaczone?

Obawiała się, że ojciec ukarze ją fizycznie, na przykład da jej klapsa. Nie chodziło jednak o ból. Było coś gorszego: bezradność, która nie pozwalała jej się odezwać, wściekłość i wstyd, którego nie udawało się ukryć.

Panna Drew stała w drzwiach i spozjrzała na swoją uczennicę. Poczula się jak głupiec, w dodatku bez serca. „Dlaczego ona się tak trzęsie?” – pomyślała. – „Błądzi oczami, nawet mnie nie zauważa. Muszę porozmawiać z jej ojcem.”

Meg poczuła skurcze na policzku. Wydawało się jej, że wielka bryła lodu przesunęła się do serca i że z każdym jego uderzeniem czuje coraz większe mdłości. Przez chwilę myślała, że to koszmarny sen. Chciała się szybko obudzić i zapomnieć. Marzyła, żeby nagle rozstała się z ziemią, wtedy wskoczyłaby w szczelinę i uciekła do innego świata. Już wcześniej wyobrażała sobie, że ten inny świat jest zaczarowany i teraz znów o nim pomyślała. Chociaż dawno z tego wyrosła, w chwilach załamania często doń powracała. Spotykała tam jednorożce i magików, widziała lasy – wszystko to, co poznała w dzieciństwie, to, co tak ją rozczarowało w kontakcie z rzeczywistością.

Poczula się lepiej. Wydawało się jej, że naprawdę śni.

Nagle zadzwonił dzwonek. To był jej ojciec.

– Chodź ze mną – powiedział.

Wyszli tak szybko, że panna Drew nie zdążyła z nim porozmawiać. Odprowadziła tylko wzrokiem odjeżdżającego forda. Odwróciła się od okna i spozjrzała na pannę Gordways, swoją zastępczynię. Ta patrzyła na nią z wyrzutem.

– Lucy! To było przekleństwo. Wiem, że za rok pójde na emeryturę i ty zajmiesz moje miejsce, ale zapamiętaj moje słowa: Dopiero wtedy będziesz naprawdę surowa, gdy cały ciężar odpowiedzialności za ich młode dusze poczujesz na swoim sumieniu.

Rozdział VIII

Pan Mitchel, jadąc do szkoły po córkę, układał sobie w głowie to, co powinien jej powiedzieć.

Cała ta sytuacja była mu nie na rękę, żona przeziębiona, leżała w łóżku, niania miała wychodne, wszystko więc spadło na niego i z tego powodu musiał spóźnić się do biura.

Zaczął powtarzać w myślach: „Widzisz, Meg, zawsze wierzyliśmy w sens wolności, ale jeśli się jej nadużywa...” Już widział Meg, która odpowiadała mu: „Tak, wiem, o czym mówisz, tato. Przykro mi.”

To jasne, że nie powie tego życzliwym tonem, zresztą nigdy jej się to nie zdarzyło. Wtedy spróbuje raz jeszcze: „Zbadamy razem całą tę sprawę i zobaczysz, ile te twoje głupie wybryki będą kosztowały naszą rodzinę” Pewnie spojrzy na niego z powagą i powie: „To dobry pomysł, ojciec. Chcę wiedzieć.”

Mitchel nerwowo zmienił bieg. Uświadomił sobie, że Margaret nigdy nie zaszczyliła go jakąś ludzką reakcją. Co zrobić z taką córką? Mógł tylko się jej obawiać, a swój dorosły strach ukrywać pod maską wściekłości.

Kiedy dotarł na miejsce i zobaczył Meg siedzącą w hallu, jego wściekłość doszła do zenitu. Wsiadli do samochodu bez słowa. Zanim zaczął, próbował się uspokoić. W końcu zapomniał o tym, co chciał powiedzieć. Usiłował przypomnieć sobie mowę, którą ułożył wcześniej, ale nie zdołał wydusić z siebie słowa. Spojrzał na jej twarz, na te ogromne dziecięce oczy, w których nie było śladu powagi ani świadomości winy.

- Do cholery! Posyłam cię do najdroższej szkoły, a teraz muszę opuszczać biuro, żeby zabrać cię do domu. - Zrobił przerwę licząc na odpowiedź. Po chwili znowu krzyknął:

- Wiem. Panna Drew to pieprznęta dupa, ale i tobie przydałoby się niezłe lańsko!

Był tak zdenerwowany, że na karku wyszły mu niebieskie żyły. Meg zauważyła to i poczuła dziwny niesmak. W tej chwili zmieniły się światła i ojciec zahamował ostro. Rzuciło ją do przodu, uderzyła głową w przednią szybę i wreszcie oparła się o rękę, którą zmieniał biegi. Pchnęła ją tak mocno, że skrzynia biegów wydała ostry zgrzyt.

Przeraźliwy dźwięk w uszach, bliskość jej ciała, zapach, który od niej czuł - wszystko naraz! Przechylił się, otworzył drzwi i wyrzucił ją na ulicę.

Kiedy samochód odjechał, Margaret wstała i otrzepała się z kurzu. Upadając uderzyła się o krawężnik i teraz czuła, jak puchnie na całym ciele. Uśmiechnęła się głupio, żeby mijający ją przechodnie uznali, że to wszystko żart.

Odetchnęła z ulgą. Wiedziała, że na dzisiaj już koniec. Po prostu zwariował ze złości i nic już nie robi. Wydawało jej się, że słońce wyszło zza chmur. Chociaż wokół panowała cisza, jej coś grało w uszach: „Nie tym razem! Teraz już koniec.”

Rozejrzała się wokół i stwierdziła, że jest w miejscu, do którego rzadko zaglądała: długa ulica z rzędami sklepów po obu stronach, z której końca widać było drzewa Central Parku, ledwie widoczne, jak małe krzaczki. Poznała drogę do ZOO i poczuła się jak w domu. Tramwaje mknęły szybko, dźwięcząc i wyrzucając iskry spod kół tak, jakby chciały wyskoczyć z szyn. Samochody usiłowały je dogonić.

Margaret na skutek nadmiernej ilości wrażeń poczuła głód. Zaczęła pobrzękiwać drobnymi monetami w kieszeni, rozglądając się za miejscem, gdzie mogłaby coś zjeść.

Kiedy dotarła do Madison, zobaczyła automat, który przyciągnął ją jak magnes. Wśród wielkiego zamieszania obsługiwała go nadzwyczaj spokojna kobieta. Dobrze знаła swoją robotę, nie było potrzeby przeliczenia pieniędzy. Musiała tylko wybierać jedzenie i wymieniać monety. Siedziała w swojej budce jak królowa, nonszalancka i pogardliwa. Otaczały ją szklane, podświetlone pojemniki, w których prezentowały się apetyczne kanapki i słodycze.

Meg zwróciła uwagę na wielką skręconą jak spirala drożdżówkę z rodzynekami. Wrzuciła do automatu dwa centy i odebrała swoją nagrodę. Usiadła przy pustym stoliku i zaczęła jeść, od czasu do czasu oblizując palce i wypluwając rodzyнки.

Od dłuższej chwili zza gazety obserwował ją jakiś nieznamy mężczyzna. Eddy, stary sutener rzadko spotykał samotne małe dziewczynki. Zawsze były z przyjaciółkami albo z kimś dorosłym, poza tym o tej porze przebywały w szkole. Podrapał się lekko w nos i zmrużył oczy. Margaret w tym czasie brudnymi palcami odrywała z ciastka kawałek po kawałku.

„Och, żeby tak wziąć te małe paluszki w dłonie i ścisnąć, zmiażdżyć, a potem...” – Wstał, poprawił okulary i podszedł do jej stolika.

– Co tutaj robi taka śliczna dziewczynka jak ty, w dodatku sama? – Uśmiechnął się pytająco, ale ona go nie słuchała. Usiadł i mówił dalej: –

Znam miejsce, gdzie jedzenie jest o wiele lepsze. To tuż za rogiem. Chciałabyś tam pójść?

Spojrzała na niego ostrożnie, oblizując resztki drożdżówki z palców.

- Nigdzie nie chodzę z nieznajomymi!

Obserwowała go uważnie, to był jeden z tych, przed którymi ostrzegali ją rodzice. Najpierw proszą cię, żebyś gdzieś tam poszła, a później... W mieście, według wielu sprawozdań, było mnóstwo takich ludzi. Ten był pierwszym, którego spotkała osobiście. Uznała, że jest brzydki z tymi swoimi niebiesko-sinymi policzkami i wąsikami, wilgotnymi ustami.

- Czy jesteś zbrojcem? - zapytała.

Eddy poprawił się na krześle, poprawił okulary, jednak nie zdążył udzielić odpowiedzi, gdyż nagle został zrzucony z krzesła przez potężną kobietę o czarnych włosach, która krzyknęła z wściekłością:

- Eddy Smollet! Jak śmiesz! Powtarzam ci po raz ostatni: nie życzę sobie, żebyś zadawał się z dziećmi! Zostaw je wreszcie w spokoju. Słyszysz? Jeszcze gorzko tego pożalujesz!

- Och, zamknij się, Tracy! Nic jej nie zrobiłem. Po prostu siedzimy przy jednym stoliku, to wszystko.

- Niech cię cholera! - Tracy usiadła. - Dokuczał ci, tak?

Margaret przyjęła grzeczną postawę. Należała do dzieci, które starały się unikać kontaktów z kobietami pokroju Tracy. Wstała i odpowiedziała:

- Niezupełnie, nigdy nie rozmawiam z nieznajomymi. Zapięła płaszcz. Do widzenia - powiedziała odchodząc.

Głos mężczyzny stał się ostrzejszy:

- Tracy! Opiekuję się tobą i oczekuję wdzięczności. Uważaj, bo to się kiedyś źle skończy!

- Dobra, ale jeżeli dowiem się, że nadal zadajesz się z gówniarzami, urządzę cię na dobre!

Eddy zaśmiał się i włożył do ust papierosa. Meg czuła pęd świeżego powietrza. Zbliżyła się do Central Parku. Jej twarz nabrała rumieńców. Jechała alejkami prowadzącymi do ZOO.

Małe kucyki chodziły w kółko, niosąc na grzbietach małe dzieci. Miały bujne, poskręcane grzywy, a w ich na pozór łagodnych oczach kryła się szelmowska radość. Taplały w błocie kopytami, wydając przy

tym zabawne dźwięki. Dzieciaki naprawdę to lubiły. Dla niektórych było to wielkie przeżycie. Matki kibicowały im, klaszcząc w dłonie.

Margaret przeszła dalej w odległy zakątek, gdzie przez chwilę obserwowała foki. Były tłusciutkie i takie wesołe! Cały czas ruszały się, wchodząc i wychodząc ze swoich prowizorycznych jaskiń lub nurkując w brunatnej wodzie. Dalej znajdowały się wybiegi. Pierwszy należał do losia i antylopy. Zwierzęta stary apatycznie, tak jakby ich nogi wmurowano w ziemię. Meg kupiła torebkę orzeszkowi teraz chciała poczęstować nimi zwierzaki, ale te były obojętne. Ominęła je i przeszła do żyraf. Dalej były małpy, które jednocześnie przyciągały ją i odpychały. Wszyscy mieszkańcy tego małego domu wyglądali na zadowolonych. Nie zdawali sobie sprawy, że są tylko pośmiewiskiem. Wydawało się, że mówią: „Spójrzcie na nas, kochani! Spójrzcie na waszego sąsiada! Patrzcie, jak robimy to albo to. Czy nie zachowujecie się podobnie, kiedy jesteście sami? Czy nie widzicie, że oni robią to samo?”

Margaret spojrzała niespokojnie na kobietę, która stała obok, a później na grubego chłopaka po drugiej stronie. Zobaczyła słonie. Te chętnie przyjęły jej orzeszki. Czuła dziwne podniecenie.

Przed budynkiem mieszczącym klatki z lwami poczuła na karku słodki dreszcz. Czy powinna tam pójść i na nie popatrzeć? Na ich grzywy i majestatyczne ruchy? A może lepiej nie! Nie chciałyby być świadkiem ich upokorzenia. Już czuła ich zapach. Stała przed wejściem i obserwowała wchodzących. Nikt niczego nie zauważył. Kochankowie przechodzili objęci, dzieci płakały i były karczone, samotni szli spokojnie. Margaret wciąż czekała. Stała tak w swoim brudnym płaszczu, ze smutno opadającymi warkoczykami. Nagle usłyszała ryk lwa. Zamknęła oczy, ścisnęła kurczowo dłonie, po chwili odwróciła się i uciekła.

Rozdział IX

Podczas gdy Meg zwiedzała ZOO, chłopcy jak zwykle siedzieli nad rzeką. Czekali na Jacka.

Josh siedział na uboczu, zastanawiając się, czy jego matka właśnie teraz go nie potrzebuje. Robił to zawsze, bo rzadko zdarzało się, żeby nie był jej potrzebny. Chociaż kochał matkę dziwną atawistyczną miłością, czasami myślał, jak wielkim cudem byłoby wydarzenie, które mogłoby ich rozdzielić. Mógłby wówczas poczuć się wolnym od wszelkich zmartwień.

Josh miał trzynaście lat i był jedynym z całej paczki dobrze ubranym chłopakiem: miał czystą, granatową kurtkę i skarpetki w kolorową kratkę. Jego włosy i buty były jednakowo czarne, wyszczerkowane i wypomadowane. Reszty dopełniała okrągła twarz, pełne usta i głębokie spojrzenie. Jak na swój wiek był wysoki, wyższy od Jacka, jednak nie tak silny jak tamten. Był chłopcem grzecznym i nieśmiałym, choć wcale nie tchórzliwym, lecz wiecznie nieszczęśliwym.

Jego matka chciała, żeby wyrósł na prawdziwego mężczyznę, na przykład prawnika. Wydawało jej się, że przez to ona sama osiągnie sławę, pieniądze i próżne poczucie wyższości. Bezlitośnie poświęcała szczęście syna dla spełnienia swoich marzeń. Josh nie spełniał jej oczekiwań. Myślał o pracy nauczyciela, mógłby być w tym dobry, jednak wpływ matki był tak ogromny, że chłopiec szybko rezygnował z wszelkich własnych zamiarów.

Podczas gdy jego koledzy wyglupiali się i robili miny, myślał o tym, co wydarzyło się wczoraj, kiedy wraz z matką pojechał odwiedzić ciotkę Rachel.

Ciotka Rachel pracowała jako kucharka w domu państwa Revilów.

Kiedy weszli do kuchni, od razu wyczuli, że coś się musiało stać.

– Zgadnij, Ruthie, kto przyszedł do państwa z wizytą? – zwróciła się do matki Josha.

Zrobiła efektowną pauzę i wystrzeliła:

– Pan Kreis!

Wiadomość wywołała sensację. Pan Kreis był jednym z najbogatszych adwokatów w całym mieście i wszyscy go znali. Ciotka kontynuowała:

- Anna wpuściła go do środka i wzięła od niego płaszcz. Był podbity czystym jedwabiem!

Matka Josha wyglądała tak, jakby za chwilę miała zemdleć. Stwierdziła, że bardzo się śpieszy i nie zwracając uwagi na protesty siostry, zabrała Josha, po czym wyszli.

Na zewnątrz zaczęła się jednak ociągać. Szarpnęła go za kołnierz, poprawiła mu krawat i kazała podciągnąć kolanówki. Złapała go za rękę i zawlokła w stronę mężczyzny, który właśnie wychodził z domu państwa Revilów.

- Panie Kreis? - wydusiła z siebie wstrzymując oddech. - Proszę wybaczyć to najście. Przeczytałam wszystko o panu! Poznałabym pana wszędzie!

Kreis zatrzymał się i spojrzał zaskoczony. Jednak szybko doszedł do siebie i gestem ręki dał jej do zrozumienia, że bardzo się śpieszy.

- Joshy! - powiedziała matka jeszcze Rośniej. - Powiedz panu dzień dobry! To największy prawnik w całej Ameryce. Mój Josh też chce być adwokatem, prawda, skarbie? No, odezwiij się! Opowiedz o tym panu Kreisowi!

Dalszy ciąg tej rozmowy pamiętał jak przez mgłę: natrętny głos matki, zniecierpliwienie prawnika, jego gwałtowny odwrót. Ruth o tym zapomniała. Uważała, że rozmowa była i tak wielkim sukcesem.

- Widzisz, Joshy. Spotkałeś kogoś bardzo ważnego. Kiedyś może ci się to przydać!

Josh nie odezwał się. Nigdy nie był zbyt rozmowny i najprawdopodobniej miał ochotę takim pozostać.

Siedząc wśród przyjaciół, czuł się od nich dużo starszy.

Giovanni zaczął śpiewać po włosku. Pozostali próbowali go naśladować. Giovanni był synem lodziarza. Wbrew rodzinnej tradycji marzył o zawodzie śpiewaka operowego.

- Giovanni, powiedz, gdzie się urodziłeś? - zapytał Micky. - We Włoszech?

- Nie, mój drogi, byłem pierwszym z rodziny, który urodził się tutaj. Wszyscy moi bracia i siostry są Włochami. Mama mówi, że

nareszcie dochowała się prawdziwego Amerykanina i teraz już koniec z dziećmi.

- Nasza mama - wtrącił się Danny - mówi, że nic na to nie można poradzić, dzieci po prostu się rodzą.

- Można, można! - krzyknął Giovanni. - Powinna po prostu nie wypuszczać ich ze środka. Moja mama jest coraz grubsza właśnie dlatego, że nie pozwala się im wydostać.

Jack zaszedł ich od tyłu. Był zły, wcale nie miał zamiaru przychodzić tutaj tego popołudnia. Wczoraj skończył czternaście lat i postanowił nie tracić dłużej czasu z tą bandą dzieciaków. Z drugiej strony wiedział, że tylko tutaj czuje się jak w domu.

- Jesteś głupi! - powiedział chłodno. - Jeśli tylko twój stary zostawi matkę w spokoju, nie będzie miała dzieci.

To poprawiło mu nastrój. Niedawno zaczął konstruować radio i teraz znów zabrał się do tej roboty. Liczył na to, że dzięki własnemu radioodbiornikowi uda mu się odebrać dźwięki jeszcze dla człowieka nieznanego. Miał więc motywację do pracy.

- Kiedy to skończysz? - zapytał Josh.

- Myślę, że za tydzień.

- Będziemy mogli słuchać całego świata - odezwał się Micky.

- O tak. Może nawet złapiemy wiadomości od Marsjan - powiedział Giovanni.

To mogła być prawda. Komuś wreszcie mogło to się udać. Dlaczego nie im?

- Może oni wyglądają jak ptaki? - zasugerował Danny.

- Nie bądź idiotą - przerwał mu brat. - Jeżeli mają skrzydła, to dlaczego nie sfruną tu do nas? Myślę, że są tacy jak my, tylko innego koloru.

Danny oczyma wyobraźni krażył już po obcej planecie. Nie bał się niczego, chociaż otaczały go niesamowite potwory, ziejące ogniem zupełnie jak istoty z piekła. On stał wśród nich i bez obawy zaczynał ładować procę...

Nagle wszyscy usłyszeli wrzask, który dochodził gdzieś z dołu. Jack poderwał się, schował radio do skrytki i wrzasnął:

- Pospieszcie się! Bierzcie kamienie, to muszą być nieprzyjaciele!

W tym samym czasie Margaret usiłowała poradzić sobie z krwią ściekającą po policzku. Oddychała ciężko, a jej twarz wykrzywił grymas bólu. Nie chciała, żeby chłopcy zobaczyli ją w takim stanie, dlatego szła powoli. Nagle w odległości dziesięciu jardów od jaskini odwróciła się i wrzasnęła:

- Nie dotykaj mnie! Mam nóż!

Jack jeszcze nie widział tropicieli, którzy szli tuż za Meg, jednak ich odgłosy dochodziły do jego uszu: ktoś się roześmiał, słychać było przekleństwa i wrzaski.

Meg cały czas powtarzała:

- Mam swój nóż! Mam nóż!

Nie była jednak w stanie wyjąć go z pochwy, musiała odpiąć zatrzask, a za żadne skarby nie mogła się skoncentrować. Jack i chłopcy już biegli, żeby udzielić jej pomocy.

- Danny, ty i Meg będziecie dostarczać nam pociski. Reszta, rzucamy!

Ukrywając się za skałami, obserwowali swoich przeciwników. Było nimi około dwunastu chłopców, którzy wyglądali na twardzieli. Jack był pewien, że trafił jednego w oko albo w nos, bo widział, jak ten przyciskał rękę do twarzy. Następny dostał w ucho. To był bardzo dobry strzał. Josh też rzucał, ale ze strachu był zielony na twarzy i za każdym razem przymykał oczy. Micky i Giovanni trafiali rzadko.

- Danny! Mówiłem ci, żebyś nie rzucał! Potrzebujemy cię do przynoszenia kamieni! Ty tak samo, Meg, i siedź cicho! - krzyknął Jack.

Danny był zbyt podekscytowany. Brał się za kamienie o wiele za ciężkie dla jego ręki. Turlał je, a później z wysiłkiem podnosił niewiele powyżej swoich stóp.

Przeciwnicy próbowali się bronić, ale żaden z nich nie dorównywał Jackowi celnością strzałów, poza tym dwóch było ciężko okaleczonych. Rzucali od czasu do czasu, bez większego efektu, a kiedy

jeszcze jeden został trafiony, tym razem w kolano, zaczęli się wycofywać.

Jack, Micky, Giovanni i Danny odprowadzili ich do pięćdziesiątej czwartej ulicy wrzeszcząc, dopóki tamci nie pouciekali gdzieś w puste podwórza. Josh przez chwilę był razem z nimi, ale w biegu podarł sobie rękaw i dlatego zatrzymał się.

Margaret poczuła na swoim policzku coś dziwnego. Odjęła rękę od twarzy i ze zdumieniem zauważyła, że palce ma wilgotne i czerwone od krwi. Zamarła i przypatrywała się im w milczeniu. Któż mógł przypuszczać, że dostąpi czegoś tak chwalebego! Być rannym w bitwie! Może Bóg będzie tak łaskawy i zostawi na jej twarzy wyraźną bliznę przecinającą skroń. Miała nadzieję, że nie przestanie krwawić do powrotu Jacka.

- Hej, Josh! Spójrz na moją ranę!

Josh był zaabsorbowany swoim problemem:

- Muszę już iść, podarłem płaszcz - wymamrotał.

- Czy to ważne? Zwykła dziura!

- Nic nie rozumiesz! - westchnął.

Reszta wróciła wkrótce. Szli po wąskiej ścieżce śmiejąc się i przekrzykując. Jack zobaczył Meg.

- Jesteś ranna, zauważyłem, kiedy do nas przybiegłaś.

- Tak - odpowiedziała płonąca z zachwytu.

- Przechodziłam przez płot i oni wszyscy tam byli. Jeden z nich pchnął mnie i upadłam.

- Co za gnojki! - zaklął Jack.

Wyjął z kieszeni niezbyt czystą chusteczkę i polizał jeden z jej rogów. Przetarł policzek Margaret, a później próbował przewiązać jej chusteczkę na głowie tak, żeby zakryć ranę. Po chwili na tym prowizorycznym opatrunku pojawiła się czerwona plama. Wszyscy stali wokół niej, czując zazdrość.

- Ja też się skaleczyłem! - wrzasnął Danny pokazując niewielkie zadraśnięcie na karku. - Jack, zobacz, ja też jestem ranny! To boli!

- Och, zamknij się, Danny! - zgasił go brat. Jack obrócił się i dodał:

- Tak, zamknij się! Powiedziałem ci, żebyś podawał kamienie, a ty co? Następnym razem wyrzucę cię stąd!

Danny spuścił głowę. Margaret pożałowała go i wspaniałomyślnie zaczęła bronić.

- Przestańcie, jest jeszcze mały. Nic nie rozumie.

- Lepiej, żeby zrozumiał. Prawda, Jack? - wtrącił się Giovanni. Jack tylko skinął głową.

- Meg, pójdiesz do domu i dasz się opatrzyć.

Teraz nikt nie odważyłby się na nieposłuszeństwo wobec niego, dlatego Meg szybko ruszyła z miejsca. Trzymała głowę wysoko, mając nadzieję, że jeszcze nie jest za ciemno i ludzie na ulicy zauważą na jej twarzy chusteczkę z krwawą plamą.

ROZDZIAŁ X

Wszyscy byli ciekawi, jak Margaret skaleczyła się w twarz. Większość dziewcząt myślała, że ma to związek z jej ostatnią nieobecnością w szkole.

Margaret i Ellen wymieniały zakłopotane spojrzenia. Chciały dowiedzieć się jedna od drugiej, w jaki sposób zostały ukarane. Ellen stwierdziła, że nic jej nie zrobili.

- Po prostu opowiedziałam im wszystko.
- Co masz na myśli mówiąc „wszystko”? - zapytała Meg.
- Powiedziałam, w co się bawimy, o tych obcasach też.
- O życiu w lesie też?
- Tak - Ellen skinęła głową. - O tym też. Ojciec stwierdził, że to

świetny pomysł.

Meg stanęła przerażona. Nie wyobrażała sobie, jak otwarcie można rozmawiać z rodzicami i zwierzyć im się ze wszystkich sekretów. Nie wiedziała, czy ma podziwiać przyjaciółkę czy nie, jednak odezwała się surowo:

- Jeżeli już o tym wiemy, musimy przestać trenować. Zresztą wydaje mi się, że nasze ręce i tak nie staną się dłuższe i nie sędzę, żeby kiedykolwiek wyrosły nam kopyta.

- Też tak myślę - zgodziła się Ellen zrezygnowana.

- Co teraz będziemy robić?

- Cóż - zastanawiała się Meg. - Myślę, że powinniśmy skupić swoją uwagę nad ujeżdżaniem koni. To najważniejsze. Mamy przecież szansę zostać najlepszymi amazonkami na świecie.

- Nie możemy. Jak? Przecież możemy jeździć tylko w końcu tygodnia, a i to nie zawsze.

- Wiem o tym, Ellen, ale możemy ćwiczyć tutaj, w szkole. Obie jesteście lekkie, a wokół jest pełno dużych dziewczyn. Możemy wybrać sobie te, które będą naszymi końmi.

Za chwilę dodała szybko:

- Biorę Phroso.

- Myślisz, że to nam pomoże?

- Jasne. Najważniejsze jest odpowiednie trzymanie kolan, a do tego nie potrzebujemy prawdziwych koni.

- Tak, masz rację - Ellen zaczęła zapalać się do tematu. - Możemy jeździć klusem...

- ... i galopować - dodała Meg.

- Biorę Lauri. Jest szybka. A co z uzdami?

Wyglądało to na poważny problem, jednak rozwiązały go już na przerwie. W szopie z piłkami, do której raczej nie pozwalano im zaglądać, znalazły zwój sznurka i Margaret, przy pomocy swojego noża, odcięła dwa równe kawałki.

- OK, powiemy o wszystkim naszym koniom po lunchu - powiedziała Ellen. - Później, no... wiesz!

„Wiesz” oznaczało fakt, który miał mieć miejsce pod koniec przerwy. Miały zgłosić się do panny Drew. Zawsze wzywała uczennice na przerwie, nie chcąc zabierać ich z matematyki czy angielskiego. Maszerowały teraz prosto do jej biura. Sekretarka uśmiechnęła się i pokazała im drogę. Dyrektorka miała dwa pokoje, jedyne, w których położono dywany i ustawiono sofę. Panna Drew siedziała jednak sztywno na jednym z niewygodnych krzeseł. Jej oczy miały jakiś dziwny wyraz: nie były ani łagodne, ani surowe.

- Mam nadzieję, że zdajecie sobie sprawę, jak przykro było mi was ukarać - zrobiła przerwę. - Jednak nie o tym chciałam mówić. Rozumiecie, że ta szkoła opiera się na zasadach honoru. Oznacza to, że oczekuje się od was, żebyście same próbowały trzymać się w ryzach. To właśnie jest częścią tego, co nazywamy samokontrolą. Same powinnyście wiedzieć, kto i jaki wpływ na was wywiera. Chcę tym samym zasugerować, że wy obie taki właśnie wpływ macie na siebie nawzajem. Wydaje mi się, że oddzielnie mogłybyście zachowywać się poprawnie. Dopóki zaś będziecie trzymać się razem, stanie się całkiem odwrotnie - zakończyła i powtórzyła: - Zupełnie odwrotnie!

- Ale Ellen i ja jesteśmy dobrymi przyjaciółmi! - wyrwało się Meg, gotowej na wszystko, tylko po to, żeby bronić swojej przyjaźni.

Panna Drew uśmiechnęła się.

- Nie myśl, dziecko, że rozdzielę was siłą. Nie ma potrzeby tworzenia z tego dramatu. To jest to, czego chciałbym unikać. Kiedy jesteście we dwójkę, przejawiacie skłonności do złego zachowania, a to niedobrze. Nie, nie chcę, żebyście wyrzekły się jedna drugiej. Po prostu pozwólcie innym brać udział w waszych zabawach albo same dołączcie do zabaw innych.

- Ale my nienawidzimy całej reszty. Są takie nudne! - powiedziała Ellen.

Meg słuchała swojej przyjaciółki z podziwem. To prawda! Jak doskonale jej to wyjaśniła.

- A może to wy wydajecie się nudne innym? - zasugerowała panna Drew niezadowolona z obrotu rzeczy.

- No właśnie - przytaknęła Meg. - One nudzą nas, my je i dlatego doskonale czujemy się tylko we dwójkę. Prawda, Hien?

- Tak, jesteśmy przecież przyjaciółkami - poparła ją Ellen.

Panna Drew poczuła, że przegrała.

- Możecie już iść.

Kiedy znalazły się już na zewnątrz, zapomniały natychmiast o całej rozmowie. Żadne słowo panny Drew nie zrobiło na nich większego wrażenia.

- propro, co ci się stało w głowę? - zapytała Ellen, a po chwili dodała: - Czy twój ojciec cię uderzył?

Meg przez chwilę pomyślała, że chciałaby powiedzieć „tak” Mruknęła niechętnie:

- Och, po prostu upadłam na wrotkach.

Przeszły na piętro, gdzie lekcje miały młodsze klasy. Małe dziewczynki szykowały się już do domu. Linnet stała w grupie pięciu czy sześciu dziewcząt. Nie zauważyła Meg, chociaż prawie się o siebie otarły. Młodociane towarzystwo prowadziło gorącą dyskusję i Margaret usłyszała, jak jej młodsza siostra przemawia do reszty piskliwym głosem:

- Nienawidzę swojej starszej siostry! Jest okropna!

Zdarzyło się po raz pierwszy, że Linny pokazała się Meg jako prawdziwy człowiek ze swoimi sekretami i marzeniami. Nie, nie mogła jej naprawdę nienawidzić! To tylko jakaś gierka, pozory! „Tak jak moje gierki!” – odezwał się jakiś głos wewnątrz jej duszy. Za chwilę pomyślała: „Ale moje są poważniejsze i mogą wydawać się nieprawdziwe tylko ludziom głupim, dorosłym! „A może to prawda? Może Linny rzeczywiście jej nie cierpiała? Być może ta tłuściutka, rozkoszna twarzączka była przykrywką dla wrogości i nienawiści?”

Margaret przypomniała sobie, jak kilka dni temu uderzyła siostrę dosyć mocno i jak ta zaczęła płakać. Z jednej strony odczuwała przykrość i wstyd, jednak z drugiej coś jej podpowiedziało: „Uderz jeszcze raz!”

To prawdopodobne, że Linny czuła wobec niej to samo. Pewnie przeszkadzała jej świadomość siły Meg. Przecież stosunek Margaret do silniejszych od niej był taki sam. Wszystko to było zbyt skomplikowane i przypominało błędne koło.

Przez resztę dnia Meg czuła się dziwnie. Była nadzwyczaj cicha na lekcjach, a nawet w czasie lunchu uchylała się od komentarzy na temat szpinaku. Jej myśli zaprzętały wspomnienia o okrutnych i niesprawiedliwych wydarzeniach, których była uczestnikiem i do udziału w których zmusiła innych. Wiedziała, że to wszystko dotyczy jej bezpośrednio. Musiała wreszcie zacząć o tym myśleć i przestać odkładać to na później.

Wczoraj Jack usiłował nauczyć ich wszystkich strzelać kamieniami ze swojej procy. Mieli założyć klub i ułożyć jego statut, ale Micky przeziębził się i nie mógł być obecny. Przysłał Danniego, żeby ten poprosił Jacka o odłożenie tego na później. Stąd to strzelanie.

Jack był cierpliwy, mimo że nikomu nie udało się trafić do celu.

- Strzel do mewy! Powiedziałeś, że potrafisz. - Poprosił Giovanni.
- Tak, zrób to! - Danny klasnął w brudne dłonie.

Jack zauważył ptaka szybującego nad skałami, wziął go na cel i wystrzelił. Mewa upadła na piasek. Była jeszcze żywa, miała otwarte wystraszone oczy. Jack szybko zbiegł na dół i skręcił jej kark. Meg zapamiętała to drobne szare ciało i jasne szczupłe dłonie, które je schwyciły. Chciała krzyknąć: „Nie, nie rób tego!” Poczowała w sobie jakiś

dziwny smutek, którego nie była w stanie znieść. Usłyszała swój własny śmiech.

- Kurczę, Jack! Świetnie, za pierwszym razem! Widzieliście, jak szybko spadała? - Naokoło słyhać było pochwały.

Jeszcze przed chwilą ptak był żywy i fruwał po niebie wśród swoich braci. Teraz leżał martwy na brudnym piachu. Wydawało jej się, że chłopcy czują triumf. Kiedy ich obserwowała, zauważyła, że ich twarze płoną. Nawet Josh był podekscytowany i jego blade policzki zdołały się zarumienić. Biorąc przykład z innych, wyrwała ptakowi kilka piór i zamknęła oczy. Jack odszedł i odrzucił mewę daleko. Widziała, jak jej głowa zwisa bezwładnie.

Myśląc o tym teraz, po pewnym czasie, poczuła się jak morderca. A może panna Drew miała rację? Może lepiej było unikać ludzi, żyć sobie samotnie. Bez konfliktów.

Czy ona sama mogła wybrać sobie matkę, ojca, Linny, ba, nawet kuzynów i wujków? Wyobraziła sobie, że na przykład jej ojcem jest pan Krane. Nieźle, ale wówczas Ellen byłaby jej siostrą. Nie miałyby wtedy szansy zostać przyjaciółkami. Owszem, siostry mogą się kochać nawzajem, ale jest coś w tej relacji, co czyni je wrogami.

Przyszedł czas deseru, a wraz z nim nagłe olśnienie. Rozwiązanie całego problemu. Jak mogła o tym zapomnieć? Bóg! Oczywiście, to Bóg jest za wszystko odpowiedzialny. On kręci tym błędnym kołem, wszystko zaplanował. Poczuła się wolna od wszelkiej odpowiedzialności. Powróciła myślami do zastrzelonej mewy: „W końcu zrobili to, kiedy byli głodni. Przemykali przez wysoką trawę krzycząc i podskakując, czuli swoje ostre jak sztylety zęby, mieli prawo być bezlitośni” Poczuła, że jej użębienie jest też o wiele ostrzejsze, szczególnie od niedzieli, kiedy poprosiła o najbardziej niedopieczone, niemalże półsurowe plastry pieczeni. Odsunęła deser z pogardą.

- Nie chcesz? - zdziwiła się Phrosso.

- Czy kiedykolwiek słyszałaś, żeby jakiś jeździec obzerał się czekoladowym puddingiem? - odparowała. - A tak przy okazji Phross, będziesz moim koniem?

- Tak! Kiedy?

- Po lunchu.

Zarówno Phrosso, jak i Lauri chętnie przystały na odgrywanie koni. Ellen i Meg miały poważanie w klasie i był to swego rodzaju zaszczyt.

Zaciśnięte usta Lauri tworzyły wąską linię.

- Dobrze! Musisz sobie wyobrazić, że jesteś dzikim koniem i nie chcesz dać się ujarzmić! Zobacz Meg, jaki mój koń jest dziki!

- Mój wali kopytami o ziemię! - wrzasnęła Meg, podczas gdy Phrosso przebierała nogami. - Patrz, wskoczę na niego od razu.

- O Boże - jęknęła Phrosso, kiedy Meg usiadła jej na plecach.

- Hej! Wcale nie chcesz, żebym na tobie jeździła! Jesteś Arabem, w dodatku ogierem!

Phrosso, w rzeczywistości ogromna i silna, podskakiwała w górę i dół, unosząc Meg na swoich plecach.

- Mój jest z Dzikiego Zachodu. Nigdy nie widział człowieka - krzyknęła Ellen.

- Jakiego jest koloru? - zapytała Meg.

- Brązowy. Ma białą grzywę, fruwającą na wietrze. A twój?

- Bładoniebieski z ogonem, który dotyka ziemi. Ellen, popatrz jak poruszam kolanami! Jadę na nim bez trzymania!

- Ojej zmiażdżysz mi zebra! - wrzasnęła Phrosso.

- Muszę, jesteś zbyt silna i stajesz dęba!

- Stań naprzeciwko mnie i zobacz, czy nozdrza Lauri parują - zawołała Ellen.

- Dymią jak komin. A jak mój ogier?

- Tak samo! - odkrzyknęła Ellen.

Włosy Meg fruwały, oddychała gorączkowo. Wierzyła, że jej koń jest naprawdę wściekły.

Rozdział XI

Pani Krane kochała swojego męża bardzo mocno, choć ta miłość często przynosiła jej łzy i stresy. Pan Krane, jak co dzień, wychodził do biura.

- Założyłeś kalosze? - zapytała żona troskliwie. - Pada.

- Emmo, proszę cię, przestań za wszelką cenę utrzymywać mnie przy życiu!

Powtarzał to często, za każdym razem raniąc ją jednakowo.

Jego delikatna twarz była niemalże przezroczysta, a zadbane ręce sprawnie poruszały kulami, przy pomocy których się poruszał. Ani choroba, ani ból, nawet świadomość bycia kaleką nie odebrały mu poczucia elegancji. Pozostał nienagannie ubranym dżentelmenem. Zawsze nosił okrągłe wysokie kołnierze i błyszczące buty z wąskimi noskami.

„Och, Francis! Nawet nie wiesz, że mogłabym umrzeć dla ciebie” Wyobraziła sobie, jak drwiłby z tego wyznania, gdyby je tylko usłyszał.

Kręciła się wokół męża jak fryga, pokazując mu swoje siwiejące włosy i nieprzypudrowaną twarz. W zamian mogła liczyć jedynie na sarkastyczny uśmiech, a raczej grymas wąskich ust.

Zamknęła za nim drzwi. Myślami doprowadziła go do windy, hallu i wreszcie do czarnego, wielkiego samochodu kupionego dzięki jego talentowi i pracy. Widziała, jak zaczynają pracować wycieraczki i jak samochód wjeżdża na ruchliwe ulice. Jej mąż wysiadzie tuż przy drzwiach biura, a że jego ręce będą zajęte, szofer potrzyma nad nim parasol i odprowadzi do wejścia. Kiedy już dotrze na miejsce, zajmie się męskimi sprawami, o których ona nie miała żadnego pojęcia.

Było wiele rzeczy, których nie umiała z nim dzielić. Przypomniła sobie dni, kiedy była zamężna z innym mężczyzną, kiedy była młoda zupełnie jak Ellen, tylko może piękniejsza. Jej pierwszy mąż był łagodny, kochający i wyrozumiały. Mieli dwójkę dzieci. Kiedy pojawił się Francis Krane, cała ta trójka poszła w zapomnienie. Jej rodzina i przyjaciele byli oszołomieni, kiedy głośno obwieściła o rozwodzie. Uważała, że to jedyne wyjście. Kochała go. Dość długo był jej kochankiem. Czy była inna alternatywa? Pobrali się. Już wtedy nie był całkiem zdrowy. Jednak nawet kiedy skręcał się z bólu, potrafił wykrzesać z siebie podniecenie i pożądanie. Wiedziała, że w jego życiu nie była jedyną...

Emma przeszła do salonu i stanęła na środku. Nie potrafiła zmienić sobie nastroju, wszystko jedno – stojąc czy siedząc. Przejechała dłońmi wzdłuż piersi – były ciężkie i obwisłe. W dodatku przeraźliwie blade. Nawet sutki nie miały żywszej barwy. Pamiętała, jakie kiedyś były doskonałe: sterczące z różowymi brodawkami. Takie, jakie wkrótce będzie miała Ellen, która powoli zaczynała dojrzewać. Miała już

trzydzieści lat. Poczuli nagle falę zalewającego ją gorąca i przyspieszone krążenie krwi w żyłach,

„To nieprawda! Boże, to nie może być prawda!”

Przez moment walczyła z rzeczywistością. Wkrótce zreflektowała się i pomyślała gorzko: „Nawet, gdyby odwrócić czas... Co z tego? Żadnego pożytku skoro i tak umiera.”

Nie było żadnych wątpliwości. Lekarze dawali mu około trzech lat życia. Tak szybko minął ten czas. Jak mało było chwil naprawdę miłych, jak mało należało do niej!

Zegar zaczął wybijać kolejną godzinę tak, jakby chciał przerwać jej rozmyślenia. Był jedyną z niewielu rzeczy, które przywiozła ze sobą z Bostonu. Naliczyła cztery uderzenia. Ellen wkrótce będzie w domu. Aha, jeszcze Meg Mitchel, która przychodzi do niej na urodziny.

Była zdumiona energią i zaangażowaniem, jakie wkładała jej córka w tę nową przyjaźń. Przed Meg było to samo, tyle że z Mi-mi. Cóż, ona osobiście wolała rodzinę Mitchel. Uważała, że rodzina Mi-mi jest zbyt nowoczesna, jak na jej nowoangielski smak.

Usłyszała, jak dziewczęta otwierają drzwi i z zapalem o czymś dyskutują. M'ssell kręciła się po pokoju. Miała dzisiaj dzień wolny, jednak zazdrość nie pozwalała jej opuścić Ellen. Może nie tyle zazdrość, co obawa? Rodzina Meg uznała instytucję guwernantki za całkowicie zbędną. To mogło wpłynąć na Ellen, a przez Ellen i na nią. M'ssell miała twardą głowę i jasny, galijski rozum. Już na początku swojej kariery odkryła, że guwernantka jest rzeczywiście osobą niepotrzebną. Mogła być zastąpiona przez matkę, nauczycielkę w szkole czy też służącą. To był jej sekret, część jej gry. Przez lata nauczyła się słyszeć przez ściany i bacznie obserwować wszystko, co działo się obok. Tym razem pani Krane powiedziała:

– Proszę już iść, M'ssell. Marnuje pani swój wolny czas. Ja się zajmę tymi dziećmi.

– Tres bien, madame – odpowiedziała i odeszła.

– Co zamierzacie robić, dziewczynki? Należała do rodziców łagodnych i wyrozumiałych, nigdy nie przejmowała się zniszczonymi meblami czy hałasem.

Meg i Ellen zaczęły zabawę bez żadnych wstępów. Tak, jakby umówiły się po drodze. Ellen wyjęła z kieszeni pudełko balonów i obie

zaczęły je nadmuchiwać. Pani Krane obserwowała je, nadal stojąc ze skrzyżowanymi ramionami. Przez chwilę wydawać by się mogło, że cały pokój zawirował. Skakały, czołgały się, podrzucały balony i po chwili łapały je z powrotem.

- Zrozum, nie możemy dotykać podłogi! - wyjaśniła Ellen matce. Obie wskoczyły na sofę i krzyknęły:

- Jesteśmy rusałkami!
- Rozumiem - odezwała się Emma.

Pani Krane obserwowała je dalej. Zrezygnowana lekceważyła zgrzyt sprężyn, które uginały się pod ich ciężarem. Co za mały! Była pewna, że Ellen udaje. Bardzo łatwo udawało jej się zachowywać pozory i ten sposób zwodził koleżankę. Po prostu udawała rozbrykane dziecko. Meg była nim naprawdę. W tę zabawę wkładała całe serce, a jak przypuszczała pani Krane, można je było łatwo zranić.

Ellen już wkrótce dorośnie. W jej ciele pomału zaczynała się bitwa kobiety z dziewczynką. Co więcej, Ellen na pewno na tym nie ucierpi. Dzisiaj bierze udział w tej grze, a za tydzień z łatwością dostosuje się do innej. Margaret nie. Całe życie szamotać się będzie pomiędzy starymi a nowymi ideałami.

W międzyczasie pan Krane wrócił do domu. Dziewczynki nadal biegały i wrzeszczały, ale były już tym zmęczone. Wszedł do pokoju powoli, ostrożnie podpierając się kulami. Odezwał się spokojnie:

- Nie uważacie, że na razie wystarczy tej zabawy?
- Są rusałkami - wyjaśniła mu żona.

Meg podeszła do niego bliżej i sztywno wyciągnęła rękę. Wszelkie formalne pozdrowienia zawstydzaly ją.

- Dzień dobry. Jak się pan czuje?
- Dzień dobry. - Jego głos był szorstki. Wziął jej rękę i potrząsnął nią szybko tak, jakby ten przykry obowiązek chciał mieć za sobą. - Dziękuję, dobrze. Wyczuwam, że mnie nie lubisz. Nie chcesz, żebym to zrozumiał. Nie powinnaś w ten sposób podawać ręki. Robisz to tak, jakbym mógł cię czymś zarazić.

Założył nogę na nogę i nalał sobie dużego drinka. Alkohol był jedyną rzeczą, która mu pomagała.

Przyglądał się swojej córce i jej przyjaciółce z rozbawieniem w oczach. Lubił dzieci, ale tylko niektóre. Chociaż znali się dopiero od

kilku minut, Meg i stary Krane wywarli na sobie osobliwe wrażenie. Nie była dla niego typową dziewczynką, a on dla niej – jednym z wielu mężczyzn. Rozpoznali w sobie nawzajem coś wspólnego. W oczach Francisa Meg była zupełnie inna od jego córki: Ellen była miłą, leniwą, utalentowaną córką, tylko tyle. Przypominała kwiat, który podziwia się, dopóki kwitnie i pachnie; Margaret była istotą ciekawszą i może przez to niebezpieczną, nieobliczalną. Przypominała mu Salome.

Dzięki Bogu! Bourbon zaczynał działać. Poprawił się na krześle. Czuł na sobie zaniepokojony wzrok żony. Przyjrzał się jej uważniej. Nie cierpiał tej jej pokornej, psiej troski i często sprawiało mu przyjemność robienie jej przykrości.

– Emmy, dlaczego nie zwrócisz większej uwagi na swój wygląd? Nigdy nie znajdziesz drugiego męża, jeśli o siebie nie zadbasz.

Tak naprawdę był zdania, że prezentuje się wspaniale. Odpowiedziała lekko się uśmiechając:

– Nie myślę o małżeństwie. Jeden mąż całkowicie mi wystarcza.

Za chwilę odezwał się znowu. Tym razem jego słowa ją przeraziły. – Idę na chwilę do swojego pokoju. Przyjdiesz?

Emma chciała udać, że nie dosłyszała albo po prostu odmówić. Poczula, jak pod jego ironicznym spojrzeniem szybciej zaczyna jej bić serce. Znał swoją siłę, tę niespokojną siłę mężczyzny. Kiedy ostatnio rozmawiała z lekarzem, ten radził jej: „Cóż pani Krane. Nie chcę nazywać tego niebezpieczeństwem, ale sama pani rozumie... Każdy wysiłek, a to jest jednak, wybaczy pani, pewien wysiłek, odbiera mu parę dni życia.”

Francis rozumiał to doskonale, dlatego patrzył na nią tak kpiąco. Dał jej możliwość wyboru: przedłużać lub skracać jego życie. Zawsze wybierała tę drugą możliwość, potępiając się za to w duchu.

– Oczywiście, przyjdę – powiedziała, usprawiedliwiając się w myślach, że to jedyne wyjście, które go zadowoli. – Przyjdę, ale dopiero wtedy, kiedy Ellen zdmuchnie swoje świece. Zapomniałeś? Dzisiaj jej urodziny.

– Zapomniałeś, ojcze? – zapytała Ellen. – Kończę trzynaście lat – Za chwilę dodała: – Meg ma dopiero dwanaście i pół.

– Cóż, jeśli tak, to zostaję z wami. Czy dałem coś swojej córce, Emmo?

- Tak - odpowiedziała. - Oboje daliśmy jej prześliczną sukienkę na jej pierwszy bal. Wiesz, ten przed Wielkanocą.

- Tak, jest cudowna! Już ją przymierzałam. Meg była kompletnie zaskoczona. To, że ona miała sekrety, nie znaczyło, że inni też je mają. To było nowe odkrycie. Stary Krane obserwował ją uważnie.

- Czy Meg idzie również?

- Nie, kochanie. Trzeba mieć ukończone trzynaście lat! - wyjaśniła mu żona ostro. W ten sposób ujęła się za córką. Uważała, że to jej dziecko ma być pierwsze we wszystkim i oczywiście najlepsze.

- Nie przejmuj się, Meg - pocieszył ją Krane. - Przyjdiesz do nas i zrobimy sobie własne przyjęcie.

- Tak czy tak, będę na wsi - Meg spuściła głowę.

- Myślę, że Ellen będzie najładniejszą dziewczynką na balu - wtrąciła Emma tym samym tonem, co przedtem.

- O, jestem tego pewny! - Francis uśmiechnął się i zapalił papierosa.

Meg była tym zafascynowana. Nigdy przedtem nie widziała takich papierosów. Nie były okrągłe i równe jak inne, ale raczej owalne, ze złotą końcówką. Kiedy zapalił jednego w powietrzu uniósł się gęsty, egzotyczny zapach.

- Myślę, że dziewczęta mogą zapalić. To przecież urodziny Ellen. Co ty na to, Emmo?

- Nie wiem, co powiedzialaby na to matka Margaret.

- Dlaczego? Meg nic jej nie powie - odpowiedział. - Nie musi mówić wszystkiego rodzicom. Czasami to nawet lepiej. Zapamiętaj to, Ellen.

Przyniesiono tort czekoladowy z kremem i świeczkami. Ellen pomyślała o życzeniu i szybko zdmuchnęła trzynaście małych płomyków.

Meg raz za razem napełniała usta dymem, obracając językiem wokół złotej końcówki. Usiłowała wydmuchiwać cienki, przezroczysty dymek, tak jak jej gospodarz, ale za każdym razem wypuszczała z siebie jeden wielki kłęb dymu, który pozostawiał w ustach ohydny niesmak. Odwróciła głowę w jego stronę i powiedziała:

- Wie pan, tak naprawdę nie bawiłam się w rusałki.

- Nie? A w co?

- Tresowane foki.
- Ale Ellen nie? Tylko ty?
- Tak, rzeczywiście – uśmiechnęła się.

Zrozumiał. Wiedział, kiedy niewinna uwaga coś oznacza.

Wkrótce przestał badać obszary jej duszy i powrócił do swojego drinka. Odezwał się tak samo szorstkim głosem, jak przedtem:

- Cóż, Emmo. Idę. Przyjdź, jeśli chcesz, jeśli nie, to nie przychodź.

Rozdział XII

Meg i Ellen zjadły kolację razem. W domu państwa Mitchel dziewczynki jadły w towarzystwie dorosłych. Margaret jednak wołała zwyczaj Krane'ów. Chociaż czasami dorośli bywali rzeczywiście interesujący, często rozmawiali o rzeczach, które brzmiały obco i niezrozumiale. Potrafili dyskutować długo, w dodatku nikt nikomu nie przerywał. Nikt nie krzychał: „Zamknij się do cholery!” ani w żaden inny sposób nie próbował uciszać uciążliwego rozmówcy.

Margaret uważała, że niewielu ludzi było tak interesujących jak jej rodzice. Czytali te same książki i miło było później wspólnie o nich dyskutować. Nie było osoby tak czarującej jak jej ojciec, oczywiście jeśli był w dobrym nastroju. Zawsze ją rozumiał, wiedział, co czuła i umiał ją rozbawić. Jak wszystkie dzieci, Margaret osądzała dorosłych po tym, w jakim stopniu ją rozumieją. Sama nie rozumiała ich nigdy. Nie miała pojęcia, co podobało im się, a co nie. Nie wiedziała, dlaczego są smutni czy weseli, dlaczego raz odnoszą porażki, a raz sukcesy. Była zdania, że jeśli w ogóle mieli jakieś problemy, to tylko z własnej winy. Poza tym, czyż racji nie mieli zawsze? Mogli ją tylko narzucać.

Chociaż poczuła do starego Krane'a sympatię, jeszcze go nie rozumiała. To, że był chory, a raczej umierający, usłyszała od rodziców. Sama nie zdawała sobie z tego sprawy. Polubił ją, a to było najważniejsze. Co więcej: zwierzyła mu się z kilku sekretów i wiedziała, że są u niego bezpieczne. Była świadoma tego, że w jakiś sposób go fascynowała, ale dlaczego, nie była w stanie zgadnąć.

Dziewczynki szybko uwinęły się zjedzeniem. Po ogromnych porcjach urodzinowego tortu nie były specjalnie głodne. Zaraz po kolacji poszły się wykapać.

Apartament państwa Krane'ów zajmował jedno piętro. Na dole był tylko wąski ciasny korytarz.

Po drodze do łazienki Ellen zauważyła, że drzwi do pokoju jej matki są otwarte.

- Mama jest teraz z tatą - zauważyła. - Weźmy kąpiel w jej łazience. Jest o wiele przyjemniejsza, poza tym będziemy mogły dodać czegoś do wody.

Meg poczuła się dziwnie. Obawiała się przebywania w łazience obcej, dorosłej kobiety, tak różnej od jej matki. Pani Mitchel była na pewno piękniejsza, ale zachowywała przy tym prostotę. Nigdy nie zdarzało się, żeby jakiegokolwiek fragmenty bielizny walały się po jej pokoju, tak jak tutaj. Na krześle wisiało coś różowego, usztywnionego przy pomocy srebrnych sprzączek. Margaret nie mogła oprzeć się temu widokowi. Była pewna, że jej matka nigdy nie zakładała takich rzeczy. Była szczupła, miała niemalże chłopięcą figurę. Ani w jej ubraniach, ani w niej samej nie wyczuwało się atmosfery tajemniczej kobiecości. Tutaj czuło się ją w nadmiarze. Meg nie była jeszcze pewna, jednak czuła, że zaczyna ją to podniecać i interesować.

Łazienka była duża. Na szklanych półkach stały flakony i różnego rodzaju słoje. Nad umywalką wisiało ogromne lustro z jasnymi kinkietami po obu stronach. Drugie umieszczono po wewnętrznej stronie drzwi. Na wieszaku ktoś powiesił grube kąpielowe ręczniki. Wanna była czarna.

Ellen odkręciła kurek, z którego popłynął strumień gorącej wody. Rozbierały się bardzo szybko, oceniły swój wygląd, obserwując nawzajem swoje lustrzane odbicie. Chociaż obie były prawie w jednym wieku, u Ellen dawało się już teraz zauważyć niepewne oznaki dojrzenia: zaczynała nabierać kobiecych kształtów, a gdzieś na jej ciele pojawiły się drobne jasne włoski. W przeciwieństwie do Margaret była delikatna, a nawet krucha. U tej, drugiej, chociaż była raczej szczupła, wszystko wydawało się szerokie: rozstaw oczu, przerwy między zębami, wystające łopatki. Obie miały krzywe nogi i długie szyje.

- Czy nie uważasz, Ellen, że lepiej byłoby mieć kolana odwrócone do tyłu? - Margaret krzywiła nogi przed lustrem.

- Nie, podobają mi się takie, jakie są.

Ellen dolała do wody olejek sosnowy i wanna wyglądała teraz jak czarna filiżanka mleka. Woda sięgała im do ramion.

Nie ma większej przyjemności niż pierwsza sekunda w gorącej wodzie. Najpierw ciało przebiega lekki dreszcz, na wpół przyjemny, na wpół dokuczliwy, później łagodnie wyciąga się nogi, a skóra staje się miękka i gładka. Wydaje się, że dusza odlatuje gdzieś w obłoki.

Siedziały w wannie ponad godzinę. Nawzajem wyszorowały sobie plecy, bawiąc się przy tym w odgadywanie wyrazów, które pisały sobie nawzajem mydłem na plecach. Margaret napisała: „Ellen ogier i wszystkiego najlepszego”! Ellen zgadła pierwsze i ostatnie słowa. „Ogier” musiał być powtarzany kilka razy zanim go rozszyfrowała. Ona sama napisała: „Margaret i hermafrodyta”

- Źle, że to napisałaś - odezwała się Meg.

- Tak? Ale pomyśl Margaret, czy nie byłoby zabawnie, gdyby to z przodu nigdy ci nie urosło? Byłabyś wtedy jedną z takich.

Chciała dać w ten sposób przyjaciółce do zrozumienia, że jej to już nie grozi. Meg mruknęła:

- Być może.

Za chwilę dodała już normalnym tonem:

- Pamiętasz, jakiego szału dostała panna Otis?

- Boże, jaka ona jest głupia! Nie lubię jej - westchnęła Ellen,

- Lubić ją! - krzyknęła Meg. - Tak jakby ktokolwiek mógł ją polubić! Ona jest moim wrogiem! - dodała stanowczo.

Ellen nie była tym zainteresowana. Zaczęła od nowa, znów o tym samym.

- Ale pomyśl Meg, gdyby ci nie urosły. Nie możesz tego przewidzieć.

- Nie. I ty też nie możesz.

Ellen cały czas obracała się bokiem, tak żeby Meg mogła przyjrzeć się jej od przodu. Ta jednak to lekceważyła.

W wannie kontynuowały zabawę w nimfy. Jedna siedziała na brzegu wanny, a druga ochlapывała ją wodą, z której połowa oczywiście znalazła się na kafelkowej podłodze.

Podczas kąpieli miały dwóch gości. Pierwszym była pani Krane. Stała w drzwiach ubrana w niebieską suknię.

- Mój Boże! - jęknęła zrezygnowana. - Będę musiała poczekać i po was posprzątać.

- Mamo, przestań! Posprzątam. Idź już na kolację.

Ellen, tak samo jak jej ojciec, nie tolerowała niektórych zachowań matki i tak samo jak on, miała ochotę reagować okrucieństwem. Pani Krane milczała. Schyliła się i podniosła z podłogi mokry ręcznik.

- Mamo, zostaw to! Idź już wreszcie! Przecież to w końcu moje urodziny! - krzyknęła Ellen.

- No dobrze - zgodziła się nagle i wyszła.

Margaret poczuła się winna. Dobrze wiedziała, że u niej w domu coś takiego nie mogłoby mieć miejsca.

Druga osoba wsadziła w drzwi tylko głowę.

- Degoutant! - krzyknęła i podniosła do góry upierścienione dłonie. Za moment dodała już po angielsku:

- To oburzające!

- Dlaczego nie wzięła pani wolnego wieczoru. M'msell?

- Biorąc pod uwagę pewne okoliczności, wiedziałam, czym to się skończy - odpowiedziała twardo, obserwując Meg kątem oka. Ta przewiesiła nogi przez krawędź wanny i odezwała się bezczelnie:

- Czym? Coś się stało? Proszę powiedzieć!

- Nigdy nie wyjdiesz za męża! Jamais de la vie. Ostrzegam cię, nikt cię nie zechce.

- Och, jakie to będzie straszne! - udawała żal Margaret. Prysnął jej zły nastrój. Guwernantka była taka zabawna!

- Skromność jest najważniejszą cechą jeunefille - zignorowała ją M'msell.

Nagle jak na komendę obie dziewczynki podskoczyły, zaczęły lubieżnie wywijać biodrami i robić przy tym dzikie miny. M'msell miała ochotę podejść i dać każdej po zdrowym klapsie. Szczególnie temu dziewczynisku od Mitchelów. Obawiała się jednak, że zamoczy swoją nową sukienkę, nie ryzykowała więc. „We Francji - pomyślała - dziecko raz upomniane nie odważyłoby się zrobić czegoś po raz drugi! Wzruszyła ramionami i głośno krzyknęła:

- Bon dieu, quel sal pays!

Nagle przypomniała sobie, że spóźni się do kina. Chodziła do tego francuskiego, na 42 Ulicy. Grali tam filmy, w których były namiętność, zdrada i śmierć. To było prawdziwe kino! Nie tak jak te błahe, marne kicze, które robili w Hollywood. Wycofała się więc tak szybko, jak się pojawiła.

Kiedy Meg i Ellen w końcu wyszły z wanny, ich twarze były lekko zaróżowione, a skóra na czubkach palców pomarszczona. Wybiegły z łazienki otulone w ręczniki, po drodze zabierając ubrania.

W mieszkaniu państwa Krane'ów był wolny pokój, ale chciały spać razem. Ich sypialnia znajdowała się na końcu hallu. Położyły się, gawędząc o tym i o owym przy otwartym oknie. Wkrótce zapanowała cisza.

Nagle usłyszały dziwny głos i Ellen zapytała zaniepokojona:

- Co to było?

Obie rozbudziły się na dobre i szeroko otworzyły oczy. Pokój wyglądał całkiem normalnie.

- Ostatni weekend, pamiętasz? - wyszeptała Meg.

Ellen doskonale wiedziała, o co jej chodzi.

To był pierwszy weekend, który spędziły razem. Obie poszły do babci Meg i tam postanowiły bawić się w coś nowego, innego niż wszystko dotychczas. To był pomysł Ellen.

- Ja będę mężczyzną - powiedziała - bo moje włosy są krótsze.

Meg zdjęła dżinsy i rozpuściła włosy. Idąc przez moczary zaczynały powoli odczuwać dziwne romantyczne uczucie. Kierowały się w stronę małego domku.

Margaret rozpoznała go. Przez wiele lat stał opuszczony, a od czasu do czasu zamieniał się w chatę myśliwską, z której korzystali jej wujowie i kuzyni. Z drugiej strony udawała, że jest jej nieznaną i że nigdy przedtem go nie widziała. Jego obecność tutaj, tuż nad brzegiem potoku była czymś niezwykłym i tajemniczym.

Otoczał go stary las, wokół pachniało mchem, a tuż nad wodą rosło gęste sitowie, wysokie jak dorosły mężczyzna. Po jednej stronie było coś co przypominało ogród: róże, które wciąż pachniały i miały ostre kolce, gdzieś tam drobne kwiatki o białych płatkach, dzikie

floksy. Kwiaty wyznaczały im drogę pomiędzy kopczykami usypanymi z kamieni.

Właśnie obok jednego takiego kopczyka Margaret zauważyła coś, czego nie potrafiła rozpoznać. To było marmurowe popiersie, takie jakie czasami ustawia się w ogrodach. Klasyczny, surowy profil, długie, związane do tyłu włosy, puste gałki oczne – wszystko przeraźliwie martwe. Prezentował się dość dziwnie i groźnie.

Dziewczynki zauważyły jeden istotny szczegół i jednocześnie wymieniły wystraszone spojrzenia. Całe popiersie było z białego marmuru, a usta miały kolor czerwony. Wyglądało to tak, jakby przed chwilą piły krew.

– Jak myślisz, czy to jest właśnie tutaj? – zapytała Ellen ostrożnie.

– Nie wiem. Mówią, że czasami można spotkać je na takich odludziach.

Obserwowały trzęsące się trawy z obawą, jakby miały świadomość niewidocznego, lecz bliskiego niebezpieczeństwa.

„Kim jesteśmy? – pytały ich oczy. – Skąd przyszliśmy i dokąd będziemy musiały powrócić?”

Były naprawdę przestraszone. Las, bagna, pusty dom i w dodatku to martwe popiersie z pomalowanymi ustami. Wydawało im się, że są pod ostrzałem milionów oczu. Sitowie znów zaszumiało, a z pustej chaty dobiegł dziwny głos. Odwróciły się i zaczęły uciekać. Biegły przez las, głośno dysząc. Kiedy znalazły się w starym sadzie, padły na ziemię i przez chwilę leżały, z trudem łapiąc oddech.

Teraz leżąc w pokoju Ellen, przypomniały sobie swój strach.

– Czy gdybyś zobaczyła ducha, Ellen, umarłabyś ze strachu?

– Myślę, że dostałabym szału.

– Wielu ludzi je wywołuje i zbytnio się tym nie przejmują.

– No cóż, gdyby to nie był zły duch...

Znów zapadła cisza. Po chwili Meg odezwała się zaspanym głosem:

– Nie oddałaś mi trąbki.

– Nie, przecież jesteśmy przyjaciółkami.

– Wtedy nie byłyśmy.

Obie przytuliły się do siebie i po chwili ich oddechy stały miarowe.

Kiedy pani Krane przyszła, żeby sprawdzić, czy zgasiły światło, obie już spały. Przez chwilę na nie patrzyła. Francis był teraz w swoim pokoju. Jutro będzie inaczej, jutro będzie radosna, dowcipna, przestanie już...

„Och, Francis! Jak mogłam pozbawić cię cennego oddechu?

Jakaż jestem egoistyczna i okrutna! To przecież ty stworzyłeś mnie tak naprawdę.”

Jeszcze raz spojrzęła na dzieci.

– Co wy możecie wiedzieć o życiu. Wy małe głupie żabki! – wymamrotała.

Rozdział XIII

To była lekcja angielskiego. Nauczycielką Margaret była panna Stark, która wydawała się być młodą, sympatyczną kobietą. W rzeczywistości zależało jej na tym, żeby nauczyć swoich uczniów poprawnie mówić, czytać i pisać. Szkoda tylko, że tak rzadko jej się to udawało. Większość dziewcząt zachowywała się tak, jakby ich własny język był tajemnicą nie do zgłębienia.

Pod koniec każdego semestru panna Stark wprowadziła zwyczaj czytania na lekcjach własnych tekstów. Sprawiało jej to ogromną przyjemność i dawało zadowolenie. Nie mając już nadziei na miłość, pieniądze czy też sławę, zachowała jasne i proste serce, zupełnie jak ptak. Była wolna od jakiegokolwiek zazdrości. Cieszyła się z tego, co miała. Zupełnie inaczej niż panna Otis.

Ona też była obecna na tej lekcji. Siedziała z tyłu zajęta poprawianiem klasówek. Margaret w dziwny sposób odczuwała jej obecność i była nią urażona. Zastanawiała się, dlaczego ingerowała w cudze zajęcia. Wytwarzała wokół siebie dziwną atmosferę. Obserwowała dziewczęta spod oka, tak że dziwnie kurczyły się pod jej spojrzeniem.

Ta lekcja angielskiego nie była dla Margaret zbyt przyjemna, głównie za sprawą Phrosso siedzącej po jej prawej stronie i przez nieobecność Ellen. Większość dziewcząt przypuszczała, że to z powodu

choroby. Meg doskonale wiedziała, że była inna przyczyna: matka Ellen pozwoliła jej zostać w domu, ponieważ właśnie dzisiaj chłopcy wracali ze swoich internatów, a tego weekendu jej córka wybierała się na pierwszy bał.

Margaret poczuła się osamotniona. Miała świadomość tego, że Ellen wchodzi do innego świata, a ona cały czas jest dzieckiem. Nie mogła sobie wyobrazić, jak można cieszyć się z głupiego balu i z konieczności zachowania dobrych manier. Być może była to kwestia wieku. Ellen była o sześć miesięcy starsza.

Z rozmyślań wyrwał ją głos panny Stark:

- Meg, czy mogę przeczytać twój wiersz? Myślę, że wszyscy chcieliby go usłyszeć.

- Tak, oczywiście - zgodziła się Meg, lekko się przy tym czerwieniąc.

Nauczycielka przeczytała następujący wiersz:

*Mam w domu angorskiego kota
O oczach, które błyszczą w nocy.
Kocham go, lecz on nie kocha mnie.
Jest zawzięty i dumny
Zupełnie jak lew.
Nazywa się Prowlie:*

Ta dziecięca poezja w ustach panny Stark zamieniła się w słowa, które Meg z trudem rozpoznała jako własne. Kiedy nauczycielka zbliżyła się do końca, Margaret pomyślała, czy czymkolwiek się nie zdradziła. Czy ktoś coś zauważył? Wydawało jej się, że ten, tak dobrze chroniony sekret o mały włos nie został odkryty. Pomyślała, że chciałaby umrzeć, gdyby to się stało.

Oczy Phrosso napełniły się łzami. Jakież czyste i ładne myśli miała Margaret, jakie wolne od udręki! Dlaczego inni nie umieją zapomnieć o obowiązkach, które spadają na ich barki i przenieść się w krainę, gdzie nawet koty mają swoje sekrety.

Phrosso przypomniała sobie swoje ósme urodziny, kiedy to jej elegancka matka powiedziała: „Teraz jesteś już dużą dziewczynką, Phrosso, jeune filie, musisz zachowywać się poprawnie i dobrze się uczyć. Wiesz, że nie lubię tych amerykańskich zwyczajów. Tutaj pozwala się dziewczynom biegać i wrzeszczeć na równi z chłopcami.”

Od tej chwili jakiś dziwny cień padł na jej dziecięce życie. Czowała się jak strzeżony więzień, który musi spać, jeść i uczyć się na zawołanie. Musi trzymać kolana razem i nosić bawełniane pończochy. Nie może mieć żadnych wątpliwości, że to, co robi, jest właściwe. Musi po prostu czekać na mężczyznę. Domyślała się, że mężczyźni o tym wiedzą i dlatego patrzą na nią z taką pogardą. Inne dziewczęta, nie tylko Meg, chociaż ona była najlepszym przykładem, bawiły się, śmiały i rozmawiały bez obaw i zamartwiania się o to, co będą robić, kiedy już dorosną. Ona nie mogła się do nich przyłączyć. Najważniejszy był „on” dla „niego” ją przygotowywano i chociaż jeszcze nic głośno nie zostało powiedziane, ona już wiedziała. Kiedy przychodził na obiad, kazano jej zakładać najlepszą sukienkę i nic nie mówić. Był już stary, miał prawie trzydzieści lat, pulchną twarz i wilgotne krople wokół dziurek od nosa. Zawsze wyrażał uznanie dla jej matki, a ta posyłała mu roześmiane spojrzenie. Pewnego razu pozorując żart powiedziała:

- Wiesz, że chciałabym cię mieć w swojej rodzinie. Oszczędzam Phroso dla ciebie.

Jego wzrok był taki sam jak wszystkich: pewny siebie i pogardliwy.

Panna Otis, siedząc z tyłu, usiłowała się skupić, jeszcze bardziej pochyliła się nad swoją pracą. Przez ostatnie dni zaczęła wręcz nienawidzić Meg. Wszystko zaczęło się wtedy w łazience. Dziewczynka naruszyła wówczas sferę jej głębokich uczuć, do tej pory niedostępnych dla innych. Zanim zjawiała się Meg, nauczycielka umiała cieszyć się swoimi marzeniami o pokoju z kominkiem, gorącej herbacie, dobrej książce czy sztuce. Teraz wszystko się zmieniło i uważała, że to właśnie Margaret jest tego przyczyną. Chyba dlatego cieszyła się z jej ostatnich niepowodzeń w szkole, wywołanych awanturą z dyrektorką. Odczuwała satysfakcję, że Meg choć przez chwilę się bała. Kiedy Meg wróciła po dwóch dniach nieobecności do szkoły, panna Otis zaczęła ją na korytarzu:

- No, Margaret, mam nadzieję, że zdążyłaś się wszystkiego nauczyć.

Dziewczynka zarumieniła się, zacisnęła usta w wąską linię i wyduсила z siebie:

- To nie pani sprawa.

Nauczycielka poczuła wówczas, jak się czerwieni pod tym pogardliwym, dziecięcym spojrzeniem.

Przechyliła głowę, czując zbliżającą się migrenę. Czy kiedykolwiek wcześniej tak kogoś nienawidziła? Była zainteresowana dziećmi, dlatego przecież wybrała ten zawód. Spojrzała na kolejną pracę. Należała do Meg. Jak zwykle było to coś, co mogła ocenić albo bardzo dobrze, albo bardzo źle. Do tej pory poprawiając jej zeszyty, próbowała być szczególnie wyrozumiała i nie kierować się swoimi osobistymi urazami. Teraz jednak z dużą przyjemnością wyżywała się przy pomocy czerwonego długopisu, poprawiając co drugie słowo.

Po lekcji dziewczęta wybiegły na podwórko. Phrosso zbliżyła się do Meg.

- Uważam, że twój wiersz jest bardzo piękny.

- Dzięki. Chodź, zabawimy się w konie. Phrosso zawahała się przez chwilę.

- Mama powiedziała mi, że to nieładnie wkładać sznurek do ust.

- A skąd ona o tym wie? Phrosso zmrużyła oczy.

- Powiedziałam jej, po prostu nie wytrzymałam. Nie złość się!

- Czyżbyś już nie chciała być moim koniem? - zapytała Meg.

- Oczywiście, że chcę. - Bojąc się, że Meg nie dowierza, powtórzyła raz jeszcze: - Chcę!

Meg złagodniała. Przeciagnęła jej uzdę przez głowę i usiadła na plecach.

- Wal kopytami o ziemię. Musisz być dzika, żebym mogła cię ujarzmić. Wio! Oddychaj głośniej, powinno ci parować z nosa!

- Postaram się - jęknęła Phrosso.

Jednak bez Ellen zabawa nie była tak podniecająca. Już po pięciu minutach Margaret zrezygnowała.

- Dlaczego płakałaś, kiedy panna Stark czytała mój wiersz? - zapytała ostro.

- Nie płakałam - zaprzeczyła Phrosso, a za chwilę dodała niepewnie: - Widziałaś?

- Tak, widziałam - przyznała Meg.

- Och, i tak nic nie zrozumiesz! - wybuchnęła nagle Phrosso.

- O co chodzi, Phrosso?

- Nie mogę ci tego wyjaśnić. Czasami mówisz o takich rzeczach...

- Masz na myśli to, skąd się biorą dzieci i tym podobne sprawy?

Phrosso nagle uśmiechnęła się zmieszana i lekko rozchyliła usta.

- Skąd się biorą? Nie chodzi mi o to, jak się rodzą, ale o to, co dzieje się wcześniej.

- Nie wiesz? - Meg była zaskoczona. Ściszyła głos i dziwnie zmrużyła oczy. Coś w zachowaniu Phrosso, w jej tonie, uderzyło ją i cała zeszywniała.

- To wcale nie jest sprośne! Rozumiesz? Wcale - wrzasnęła głośno.

- Meg, co się stało? Co ja takiego zrobiłam? - wymamrotała Phrosso, łapiąc ją za rękaw. - Nic takiego nie powiedziałam!

Meg strząsnęła jej rękę.

- Jesteś okropna, po prostu okropna! - krzyknęła i uciekła.

Margaret tęskniła za Ellen. Choć były przyjaciółkami od niedawna, czas bez niej dłużył się niemiłosiernie. Zastanawiała się, czy inne dziewczęta w klasie mogły być interesujące. Kiedy słuchała, jak rozmawiały o zabawach i drużynach sportowych, przyprawiało ją to o mdłości.

Pewnego dnia, kiedy weszły do szatni, grupka dziewcząt gwałtownie ucichła.

- Co to za sekrety? - zapytała.

- I tak jeszcze nic o tym nie wiesz.

- Założę się, że wiem! - odparowała natychmiast.

- Nie sądzę, jesteś za mała.

- Czyżby? A ile trzeba mieć na to lat?

- Powiedzmy jej - odezwała się dziewczyna o imieniu May.

Kiedy wreszcie to zrobiły, Margaret wzruszyła ramionami.

- Och, to tylko to?! - Odwróciła się na pięcie i odeszła. Dla niej było to normalne. Każda kobieta spodziewa się tego każdego miesiąca. Coś tam sobie po prostu zakłada i koniec.

Czuła się naprawdę samotna. Teraz, kiedy nie było Ellen, pomyślała, że byłoby lepiej, gdyby miała w klasie inne koleżanki. Tym bardziej, że było kilka dziewcząt, które ją podziwiała. Wiedziała o tym i sądziła, że mogłyby to przynieść jej korzyści.

Przesiedziała do dzwonka na piłce do koszykówki, próbując wyobrazić sobie, że piłka jest trudnym do ujeżdżenia koniem, ale jakoś jej to nie wychodziło.

Rozdział XIV

Było już grubo po piątej, kiedy Meg przechodziła przez płot, spiesząc na brzeg rzeki. Lada dzień miały zacząć się wakacje i właśnie z tego powodu zatrzymano ją w szkole dłużej: musiała sprzątnąć swoją ławkę.

Słońce zachodziło, chowając się za wieżę i dachy domów.

Chłopcy czekali tylko na nią. Byli zniecierpliwieni i dlatego domyśliła się, że to właśnie dzisiaj będzie dzień założenia ich związku. Tak zdecydował Jack. Był ich bohaterem od dnia, kiedy się po raz pierwszy pojawił. Po wygranej bitwie podziw dla niego osiągnął szczyt. Założył, że ten klub będzie jemu poddany, a głównym zajęciem członków ma być podziw dla wodza.

Dzisiaj chciał przeprowadzić coś w rodzaju braterstwa krwi, które miało być jednocześnie potwierdzeniem dojrzałości i odwagi wszystkich członków. Obiecał, że wymyśli coś specjalnego.

Kiedy zjawiała się Meg, majstrował coś przy swoim radioodbiorniku. Podniósł głowę i zapytał:

- Meg, powiedz, czy masz przy sobie ten nóż, o którym ciągle opowiadasz?

- Pewnie, że mam! Jest ci potrzebny? - zapytała i poczuła się ważna.

- Będzie nam potrzebny do obrzędu, który wymyśliłem.

Wszyscy spojrzeli w jego stronę i zastygli w oczekiwaniu. Meg wyjęła nóż.

- Widzicie - mówił Jack, nie przerywając swojej pracy - to nie będzie takie zwykłe stowarzyszenie. Chcę, żebyśmy byli braćmi krwi.

- O tak! - wyrwała się Meg. - Czytałam o tym. Trzeba zmieszać własną krew z krwią innych. Wikingowie tak robili.

- Czytałaś tę książkę? - zapytał Jack zaskoczony faktem, że ktoś poza nim może o tym cokolwiek wiedzieć. Meg skinęła głową:

- Tak. Już w drugiej klasie. Trzeba przeciąć sobie ręce w przegubie...

- To prawda - przyznał. - Wszyscy musimy przeciąć sobie ręce i złączyć je razem tak, żeby krew mogła się mieszać. Być może jej część dostanie się z powrotem do naszych żył, a wówczas będziemy jak prawdziwi krewni. To wszystko oznacza, że musimy trzymać się razem.

- Aż do śmierci? - zdziwił się Micky i szeroko otworzył oczy.

- Pewnie, że do śmierci, ty idioto! - odparował Giovanni i zaczął śpiewać arię z Forza del Destino.

- Zamknij się! - powiedział Jack.

Josh był bardzo niespokojny. Miał świadomość nienaruszalności takich ślubów i stąd brała się jego niechęć. Nie powiedział jednak ani słowa.

- Jesteście gotowi? - Jack wstał i podciągnął swój lewy rękaw.

- Ramię bliżej serca - wyjaśnił. - Zawsze będziemy podawać sobie lewą dłoń i to będzie nasz znak - dodał. - Zrobię to pierwszy, bo jestem wodzem. - Wziął nóż i zrobił na ręce jedno szybkie cięcie, z którego popłynęła czerwona strużka krwi.

- Teraz ty, Josh. Jesteś po mnie najstarszy. Josh wziął od niego nóż i głośno przełknął ślinę.

- Tak po prostu pchnąć? - zapytał.

- Tak, ale musisz też zrobić cięcie.

Josh zrobił, co mu kazano, jednak jego twarz wyrażała niesmak.

Micky był następny. Miał chude ręce i kości wyraźnie rysowały się pod skórą. Pomimo to zdecydował się szybko.

Giovannii, używając ostrza, wrzasnął głośno:

- Matko Boska!

Jack podniósł ręce do góry, a reszta dołączyła swoje.

- Pospiesz, się Meg! Nie zdążymy! - wrzasnął Danny.

Margaret wzięła nóż do ręki. W tym samym czasie Josh pomyślał: „Wcale nie bolało, moja krew nie miesza się z innymi tak naprawdę”

- Meg, szybciej! - Danny krzyczał histerycznie.

Czuła się dziwnie słabo. Wydawało się jej, że nie jest w stanie dłużej znieść ciężaru własnego scyzoryka. Nie potrafiła tego zrobić. Jack, który cały czas ją obserwował, odezwał się łagodnie:

- Po prostu przetnij wzdłuż, lekko. To wystarczy. Nie mogła się do tego zmusić.

- No, już, ty tchórze! - Danny tracił nad sobą panowanie.

Puściła jego uwagę mimo uszu.

- Nie mogę! - wybuchnęła nagle, patrząc tylko na Jacka. Oddała mu nóż.

- Dobra, teraz ty, Danny. Meg jest przecież dziewczyną, więc jak może być bratem krwi?

Danny uwinął się szybko.

- Patrzcie, wcale mnie nie bolało. Jack! Przyłożył swoją rękę.

Popołudnie miało się ku końcowi. Powoli robiło się ciemno. Margaret wyglądała na zmęczoną i wyczerpaną. Wiatr rozczochrał jej włosy i teraz mnóstwo drobnych kosmyków wymykało się z warkoczy. Jack postanowił ją pocieszyć.

- W porządku, wszyscy jesteście przyjęci, oczywiście z wyjątkiem Meg. Ona nie mogła tego zrobić. Jest dziewczyną. Chcę jej dać jeszcze jedną szansę. Zostaniemy sami, a wy w tym czasie pójdziecie nzbierać drewna. Zrobimy ognisko i odbędziemy naradę.

- Ale ja chcę być przy tym! - krzyknął Micky czując, że coś może go ominąć.

- Zrobisz tak, jak powiedziałem! - Głos Jacka zabrzmiał groźnie, jak nigdy dotąd,

Meg poczuła dreszcz na swoim ciele, jednak zrobiło się jej raźniej. Jej honor mógł być uratowany. Zastanawiała się, czy próba nie będzie zbyt trudna do zniesienia. Jack może przecież chcieć, aby zrobiła coś niemożliwego.

Chłopcy zniknęli.

- Chodź, Meg! - odezwał się Jack.

Prowadził ją do jaskini. Było już zupełnie ciemno i znajdowali właściwą drogę na wyczucie.

- Wejdz do środka! - rozkazał. Wewnątrz zapalił zapałkę.

- Rozbierz się!

- Mam zdjąć ubranie?

- Tak, wszystko.

Jeszcze nie była zaskoczona. Kiedy zdjęła płaszcz, poczuła, jak przesywa ją zimne powietrze. Panowała cisza. Nie było słyhać nic poza ich oddechami. Od chłodu, jaki odczuwała, zaczęła szczerkać zębami.

Zdejmowała po kolei tunikę, bluzkę, wreszcie buty. Ostatnio przestała nosić bieliznę, nie pytając nawet o zgodę rodziców. Uważała, że to kwestia przystosowania się do warunków leśnych, w których będzie musiała objeść się bez wielu rzeczy.

Jej ciało błyszczało w świetle zapałki. Kiedy zgasła, Jack zapalił następną.

- Rozpuść włosy.

- Czy to rzeczywiście sprawi, że zostanę członkiem stowarzyszenia? - zapytała. - Tak bez krwi, bez mieszania?

- Będzie krew - odpowiedział. - Tak mi się wydaje.

Włosy puszczone luźno opadły prawie do ziemi. Poczowała płynące od nich łagodne ciepło.

- Połóż się! - zdmuchnął zapałkę. Rozciągnęła się na ziemi. Jack oddychał głośno.

Poczowała nagle ciężar jego ciała na sobie.

- Teraz nic nie mów, to jest właśnie to - szepnęła.

- Wcale nie. To tylko to, co mężczyźni robią z kobietami!

Ścisnęła nogi razem.

- Zamknij się! - rozkazał. - Jeżeli nie poddasz się tej próbie, to znaczy, że jesteś tchórzem.

Na początku nie był w stanie nic zrobić. Była zbyt mała, żeby pobudzić jego męskość. Jednak już po chwili, chociaż Meg nie wykonała żadnego ruchu, przebiegł go dreszcz podniecenia. Jego członek stwardniał i wszedł w nią gwałtownie.

- Rozrywasz mnie! - wyszeptała. Zacisnęła zęby. Nie zaliczyła już jednej próby i nie chciała, żeby to się powtórzyło. Była w stanie znieść ten ból. Nie było jej już zimno, teraz przeszkadzało tylko twarde podłoże pod plecami. Kiedy to się skończy? Było w nim jakieś niebezpieczne napięcie, które kazało jej milczeć i którego się obawiała. Myślała, że sprawia jej ból po to, żeby ukarać ją za to, co stało się wcześniej.

Kiedy skończył, roześmiał się.

- Nie myśl, że zajdziesz w ciążę - znów się roześmiał.

Pewnie, że nie. Dzieci nie mogły rodzić dzieci, chyba tylko w Indiach. Jednak ona wciąż się martwiła.

- Jack, czy jestem przyjeta?

- Pewnie! - odpowiedział.

- Ale przecież nie zmieszaliśmy krwi, a mówileś, że to zrobimy.

Roześmiał się po raz kolejny:

- Och, skarbie, zapewniam cię, że to zrobiliśmy.

A więc już po wszystkim. Miała teraz dwie rany: jedną na policzku i tę drugą, której nikomu nie mogła pokazać. Wiedziała, że grzeczne dziewczynki tego nie robią. Słyszała, że to niezdrowe i niezbyt higieniczne. Niektórzy, tak jak niania na przykład, twierdzili, że może się to skończyć kalectwem. Powiał wiatr i poczuła nagle, że chce się jej płakać.

- Ubieraj się! - powiedział Jack. - Pamiętaj, że to sekret! Nikt poza nami nie może o tym wiedzieć. W przeciwnym razie nie będziesz mogła tu przychodzić.

- Obiecuję, Jack - po chwili zapytała nieśmiało: - Czy byłam odważna?

Wydawało jej się, że ta próba była trudniejsza od tej, której poddani zostali chłopcy i poczuła satysfakcję. Poza tym wspólny sekret z Jackiem to też było coś.

- Jak lew. Czy bardzo cię bolało?

- Tak - odpowiedziała.

- Jakie to było?

Zapięła bluzkę i chwilę się zastanawiała.

- To tak, jakbyś nie miał żadnego miejsca dla siebie i musiał je sobie zrobić.

Sprawa przestała go interesować.

- Idę pomóc chłopakom.

Została sama. Znowu zachciało się jej płakać. Nie mogła znaleźć gumki, więc zostawiła włosy rozpuszczone. Wiatr rozwiewał je na wszystkie strony.

Z daleka widać zapalone ognisko. Chłopcy ułożyli na stosie wszystko, co nadawało się do spalania. Dołączyła do nich nieśmiało.

- O, Meg rozpuściła włosy!

- Kurczę, czy mogę ich dotknąć? - Giovanni wziął jedno pasemko w palce. Meg wrzasnęła:

- Nie dotykaj mnie, bo cię zabiję!

- O co chodzi? Przecież ich nie ciągnę. Nie rób z siebie wariatki!

Odwróciła się i obserwowała jasne płomienie. Nagle zaczęła krążyć dookoła ognia skacząc przy tym i tańcząc.

- To taniec wojenny - krzyknęła.

Inni poszli jej śladem. Wszyscy podskakiwali wokół wysokich płomieni. Wiatr wiał, dym gryził w oczy. Jack tańczył, przykładając rękę do ust, jak to zwykle robili Indianie. Wszyscy byli szczęśliwi.

Rozdział XV

Ellen była gotowa do wyjścia. Dziś mogła uchodzić za piękność. Jej zazwyczaj rzadkie, bezbarwne włosy nabrały złotego połysku. Chociaż były krótkie, zakrecono je tak, żeby jeszcze bardziej przylegały do głowy. Z przodu jeden lok łagodnie opadał na policzek.

„To zabawne”- pomyślał jej ojciec, sącąc swój bourbon. - „Ellen jest taka sama jak Emmy dawniej” Nie było w tym smutku, ale raczej złośliwa ironia. Ellen miała jasną skórę, taką sarną jak matka, nie przezroczystą, ale bardzo delikatną i gładką jak płatki kwiatów. Jedynym defektem, który posiadała, było niewielkie znamię w okolicach ust, które zajmowało powierzchnię wielkości drobnej monety. Ubrana była w różową sukienkę z usztywnionym stanikiem, który uwydatniał jej niewielkie piersi. Suknia była długa, jednak widać było spod niej różowe jedwabne pończochy i małe sandaalki.

- Wyglądasz przepięknie, kochanie! - odezwał się ojciec. - Chodź tu, chcę ci się przyjrzeć z bliska.

Ellen podeszła do niego, stawiając stopy tak, żeby suknia łagodnie się kołysała. Wziął ją za rękę i odwrócił twarzą do siebie. Nie była umalowana, jednak zauważył, że jej usta delikatnie połyskują, a w oczach kryje się tajemniczy błysk.

- Będziesz piękną kobietą, Ellen.

Stała przed nim, opierając ciężar swego ciała na jednej nodze, świadoma jego podziwu.

- Już teraz znasz te kobiece sztuczki. Wyglądasz tak samo jak twoja matka przed laty.

- Naprawdę?

Po raz pierwszy usłyszał inny głos swojej córki: bardzo dorosły, ale jednocześnie chłodny.

- Tak, masz rację, Francis. Jest do mnie podobna, ale ja byłam ładniejsza - powiedziała Emmy.

Nie było w tym obłudy, rzeczywiście była piękniejsza: miała kształtny nos i duże, duże oczy.

Ellen nie wykazywała większego zainteresowania. To było tak dawno! Teraz matka wygląda zupełnie inaczej.

- Kto z tobą idzie? - zapytał ojciec.

- Johnny i Joe Lefortowie - odpowiedziała mu żona. - Uzgodniłam to z ich matką. Ellen bawiła się z nimi zeszłego lata, prawda, kochanie?

- Tak, ale wydawali się wówczas tacy dziecinni! Mam nadzieję, że teraz już z tego wyrosli - odezwała się Ellen.

Zadzwonił dzwonek. Wpuszczono dwóch czternastolatków o niemalże jednakowym wyglądzie. Byli prawdziwymi bliźniakami. Dla wielu Johnny był cieniem Joego. Miał ciut jaśniejszą karnację i bardziej matowe włosy.

Ellen z dziwnym uporem przygłębła do Joego. Wydawał jej się nawet fascynującym. Od razu widać było, że to z nim idzie na bal, a Johnny jest tylko na przyczepkę.

Pan Krane życzył im dobrej zabawy, chłopcom uściśnął ręce, a do Ellen odezwał się żartobliwie:

- Pamiętaj, że jeszcze mogę dać ci klapsa!

Spojrzała na niego, lekko mrużąc oczy.

- Pamiętam.

Odwróciła się i wszyscy wyszli. Francis spojrzał na Emmy i zapytał:

- Czy nie jest ci przykro, kochanie, że to nie ty wychodzisz teraz w towarzystwie młodzieży i z diablikiem w głowie?

- Nie. Jest mi przykro nie z mojego, lecz z jej powodu.

- Och, nie bądź sentymentalna! Ona ma się na bacności.

- Czyżby? - zapytała i dodała tonem, który zawsze doprowadzał go do szału: - No cóż, jeśli tak, to jest lepsza ode mnie.

- Dlaczego? - zażądał odpowiedzi.

- Dlatego! Ty wiesz najlepiej! Wysłałam za męża w wieku osiemnastu lat i musiałam czekać następne dziewięć lat, aż spotkam

mężczyznę, którego naprawdę kochałam. Gdybym poczekała wcześniej, nie musiałabym mieć na sumieniu rozwodu.

- Mój Boże, Emmy! Zaczynasz zachowywać się jak purytańska matrona. Powiedz raczej, że musiałaś rozwieść się przeze mnie i że lepiej było tego nie robić!

- Dlaczego nie? Skoro poznaliśmy się i zakochaliśmy się w sobie.

- Nigdy nie chciałem być uwodzicielem – odpowiedział chłodno.

- Ale musiało przecież być między nami coś takiego jak miłość, wzięliśmy przecież ślub!

- Moja droga, od czasu, kiedy cię poznałem, nie myślałem o tym.

Wiedziała, co miał na myśli. Oddałaby teraz wszystko, co ma, żeby ukryć swój ból. Zauważyła rozbawienie w jego oczach. To dziwne, jego oczy pozostały pełne życia, nie skalane przez ból i chorobę. Uśmiechnęła się.

- Nie przejmuj się. Warto było ożenić się z tobą i mieć takie niezdatne do niczego dziecko.

Obudził w niej nowe uczucia.

- Nie mów tak o Ellen! Jest piękną, mądrą i w dodatku utalentowaną muzycznie dziewczynką!

- Nigdy temu nie zaprzeczałem, chociaż zawsze mnie przekonujesz. Pewnie, może grać na każdym instrumencie, jeśli tylko naprawdę się tym zainteresuje lub jeśli tyją do tego zmusisz. Nie powiedziałem też, że nie jest mądra i ładna. Powiedziałem, do cholery, że nie ma w niej dobra!

Mówił coraz głośniejsze. Bourbon zaczynał działać.

- W porządku, Francis. Możemy mieć różne zdania.

On nadal był podniecony.

- Chciałbym, żeby była taka jak Meg! – wybuchnął. Ale już po chwili zaczął żałować, że to powiedział.

Emmy nie wytrzymała.

- Meg?! Jak możesz!? Ona nie dorasta Ellen do pięt! Ma gorsze stopnie i za grosz talentu. Poza tym wcale nie jest ładna.

- Uspokój się. Nie chciałem tego powiedzieć. Proszę cię, zapomnij o tym.

Wziął jej rękę i uśmiechnął się łagodnie, jednak w myślach powtórzył: „Tak czy tak, to przecież prawda!”

Rozpoznał w Meg bliskie sobie cechy. Przypomnił sobie jej głos i to co mu powiedziała: „Nie rusałki, foki”! Wiedział, że to był sekret, ale jeszcze go nie rozumiał. W oczach Emmy zobaczył łzy. Ścisnął mocniej jej dłoń.

W tym samym czasie Ellen, wraz ze swoimi towarzyszami była na balu. Pomimo że rozpoznawała wiele dziewcząt, pozdrawiała je chłodno i z daleka. To był dla niej nowy świat, w którym nie potrafiła rozróżnić przyjaciela od wroga i gdzie wszystkie wartości straciły znaczenie.

Dziewczęta ukradkiem pudrowały sobie nosy i gładziły świeżo uczesane włosy. Nawet dla najstarszych była to dopiero druga zabawa, większość przeżywała ją po raz pierwszy. Każda z dziewcząt miała przyjść w towarzystwie dwóch chłopców, najlepiej dwa lata starszych. Na sali było też obecnych wiele matek, które bacznie obserwowały swoje córki.

Ellen spojrzała w lustro. Własne odbicie zaskoczyło ją. W przeciwieństwie do reszty, nie wyglądała jak miniaturka dorosłej kobiety. Jej strój sprawiał wrażenie szaty bajkowej księżniczki. Delikatne jak mgiełka pończoszki, płaskie obcasy, suknia kończąca się tuż nad ziemią – wszystko to robiło wrażenie.

Zabawa rozkręcała się powoli. Więcej było tak zwanych wprowadzających, których zadaniem było przedstawianie młodzieży gromadzącej się na sali. Oni również byli młodzi i z racji swego wieku stali zawstydzeni i nieśmiali. Wszyscy przeżywali ten sam problem – jak dobrać partnerów i jak się zapoznać. Wszyscy z wyjątkiem Ellen. Ona jedyna wiedziała, jak być pociągającą i jak obudzić w chłopcach ich dojrzewającą męskość.

Podczas gdy pozostałe dziewczęta szeptały po kątach i siliły się, żeby powiedzieć coś mądrego, Ellen robiła doskonały użytek z pięknych oczu, rąk i kobiecego uroku. Wnosiła z sobą szczyptę pikanterii i nawet piętnastoletni chłopcy byli nią zainteresowani. Była po prostu inna. Nie trzymała się ustalonych reguł, co więcej – ignorowała je. Wybrała seks. Zdała sobie sprawę z faktu, że jej dojrzałość dolewa oliwy do ognia, który palił się w młodzieńcach.

Tańcząc z Joem wyznała mu:

- Kiedy obejmujesz mnie w ten sposób, zmuszasz mnie, żebym patrzyła ci w oczy. Czuję się tak, jakbyś mnie hipnotyzował.

Joe lekko się zarumienił.

Do innego szepnęła zalotnie:

- Założę się, że mam ślady twoich guzików na skórze, od brzucha w górę. Słowo „brzuch” zabrzmiało tak podniecająco, że od razu podbiła jego serce.

Dla matek zgromadzonych w łoży była zagadką. Nie mogły jej otwarcie krytykować, bo nie było za co. Większość z nich uważała, że nie jest tak ładna jak ich córki. Nie musiały więc się niepokoić.

W naturze Ellen było coś, co w pewnym momencie nakazywało jej zatrzymać się. Nie mogła uchodzić za kobietę. One uwielbiają tłumy oczekujące wokół nich na najdrobniejsze skinienie. Ellen mogła okazywać zainteresowanie tylko jednemu mężczyźnie, niezależnie od tego, jak długo to trwało. Często zmieniała obiekt swojej uwagi, wówczas inni przestawali dla niej istnieć. W przyszłości miała zostać kobietą ciągle odmładzaną przez nowe romanse. Joe był pierwszym. Uczył ją tańczyć i z bólem obserwował, jak to, co jemu zajęło dwa lata, ona przyswoiła w ciągu pół godziny.

Zrobiło się późno i niektórzy z tancerzy okazywali zniecierpliwienie. Przyszłe piękności, które kiedyś miały zawiązać męskimi, snami płakały samotnie w toalecie, ubolewając nad swą brzydota.

Organizatorzy marzyli o pójściu spać. Piłkarze, obecni na balu, zastanawiali się, czy warto było przyjeżdżać tutaj i tracić mecze. Młodzi intelektualiści opróżniali kieliszek za kieliszkiem, stukając palcami o szkło.

Pani Krane przecesała włosy i przeszła do swojej sypialni, żeby tam poczekać na córkę.

Wybiła północ.

Rozdział XVI

Przerwa wielkanocna nie zasługiwała na miano wakacji. Był to po prostu dłuższy weekend. Meg spędziła go u babci w towarzystwie kuzynów. Uznawała tylko najbliższą rodzinę i wizyty dalekich krewnych denerwowały ją.

Kiedy obudziła się w czwartek i uświadomiła sobie, że dzisiaj znów ich zobaczy, poczuła się słabo. Spała w pokoju na strychu, który praktycznie należał do niej. Lubiła go. Stało tam stare plecione krzesło, ogromna szafa i stojak, na którym ktoś postawił wielką doniczkę i coś w rodzaju miednicy. W pokoju było także podwójne łóżko. W oknach nikt nie zawiesił zasłon, a z sufitu zwisała goła żarówka. To wszystko jednak nie miało znaczenia. Dach pochylał się tutaj pod różnymi kątami, tworząc fantastyczne łuki, które nadawały temu miejscu szczególny charakter. Z okna rozciągał się widok na las i port. Czuło się zapach świeżego powietrza.

Rano, kiedy już wstała, ptaki wesoło ćwierkały. Tłuściutkie i okrągłe, fruwały poszukując jedzenia i odrobiny miłości.

Meg założyła stary sweter w czerwone pasy i modną dżinsową spódniczkę. Ścisnęła pasek, obserwując jednocześnie swoje odbicie w lustrze, które umieszczone było na drzwiach szafy. Zwykle będąc na wsi nie nosiła butów, ale było jeszcze za zimno na bieganie boso, dlatego włożyła trampki. Wiedziała, że niedobrze je nosić. Mówiono, że deformowały stopy. Pani Mitchel kupiła jej nawet specjalne skarpetki, ale Meg ciągle o nich zapominała. Ubrała je nawet raz czy dwa, a później w dziwny sposób nie wróciły z pralni.

W jej naturze było coś, co nadawało rzeczom oczywistym cechy nonsensu. Ten ciasny pasek, krótka spódnica, długie włosy – wszystko to miało swój cel. Cel, który był jej tajemnicą. Ścisnięty mocno pasek miał zmniejszyć objętość żołądka. Krótką spódniczkę zawsze można było zmienić w przepaskę na biodra. Długie włosy? Kto słyszał o ich strzyżeniu w dżungli. Poza tym były częścią jej ciała, jak ręce i nogi. Oczywiście, istniała możliwość zmiany jej przyzwyczajzeń. Mogliby to zrobić rodzice, każąc jej na przykład obciąć włosy. Gdyby tak się stało,

byliby zaskoczeni jej złością i łzami wściekłości. Nigdy nie dowiedzieliby się, że zniszczyli symbol.

Dzisiaj spłotła włosy w warkocze.

Była siódma trzydzieści. Postanowiła spędzić ten ranek samotnie, nikomu o tym nie mówiąc. W szkole, w domu, wszędzie musiała rozmawiać i śmiać się. Dzisiaj chciała uniknąć wszystkich. Kiedy skończyła ubieranie, wyjrzała przez okno, po czym stanęła na parapecie. Poniżej był bezpieczny dach werandy, która otaczała cały dom. Spuściła się na dół po rynnie. Chodząc po werandzie, zaglądała do wszystkich okien. Zobaczyła babcię ubraną w różowy szlafrok i koronkowy czeppek. Następne było okno do pokoju rodziców. Jeszcze spali. Widziała dwa nieokreślone kształty leżące w łóżku. Rozróżniła tylko głowy: jedną ciemną, drugą siwą. Minęła pustą łazienkę i zajrzała do pokoju dziecinnego. Linny już się obudziła. Niania stała obok niej i próbowała napalić w piecu, Linny przyglądała się z zainteresowaniem płomieniom. Jak zwykle mówiła sama do siebie. Jej rzadkie, jasne włosy były jeszcze w nieładzie. Meg chwilę jej się przyglądała. Gardziła nią jak zwykle, ale odczuwała też zazdrość. Co trzeba było zrobić, żeby mieć takie okrągłe oczy i jasne loczki. Ze swoimi ciemnymi włosami i brązową karnacją, Meg wyglądała brzydko przy swojej siostrze. Poszła dalej i usiadła na krawędzi niewielkiego daszku, tuż nad ziemią. W swoich przygodach, które ostatnio wymyślała, z łatwością wspinała się na największe wysokości. Ta była nieduża, ale jedyna, na jaką było ją stać.

Zeszła na ziemię. Poczowała nadchodzącą wiosnę. Jeszcze nie nadszedł czas kwiatów, zielonych liści, młodych zwierząt i świeżego powietrza. To była szczególnie pora. Dawała się odczuwać we wszystkim: płynącej żywicy, lepkich sokach sączących się z pączków kwiatów, w dziwnym zapachu wiatru, a nawet krowie szykującej się do porodu. Meg kochała ją bardziej niż inne pory roku. Wydawało się jej, że jest jedyną, która rozumie, jak ważny jest to okres. To był zawsze jeden dzień, a nawet kilka godzin. W tym krótkim czasie wiosna stawała się faktem. To był prawdziwy cud. Ludzie często nie zdawali sobie sprawy. Potrafili mówić tylko: „Jaki piękny dzień!” W rzeczywistości nie wiedzieli, z czym mają do czynienia. Meg zawsze na to czekała. Straciła to tylko kilka razy, będąc w Nowym Jorku.

Szła powoli przez las. Przypomniła sobie bajki Toma. Stworki, o których opowiadał, mogły rzeczywiście tutaj mieszkać. Zastanawiała się, czy Linny naprawdę widzi swojego brązowego krasnoludka. Jeśli to prawda, miałyby jej czego zazdrościć. Bardzo często Meg udawała, że jest nastawiona do wszystkiego sceptycznie. Jednak tak naprawdę nie mogła pozbyć się uczucia, że obok niej czają się jakieś niezbrane siły. Chociaż nigdy nie widziała niczego nadprzyrodzonego, rzadko kiedy słyszała jakieś dziwne głosy ani nigdy nie zapadła w trans, czuła wokół własnej osoby tajemniczą atmosferę.

Szła dalej. Zerwała niewielką gałązkę i obdarła ją z kory. Była śliska, a w smaku gorzka.

Minęła łąkę. Po drodze spotkała Rudolpha, który sprzątał swoją mleczarnię. Miał piękne, zielone oczy i długie rzęsy. Trudno było z nim rozmawiać. Nigdy nie wiedział, o co chodzi. Całe życie wypełniała mu tęsknota do rodzinnego kraju. Tylko o tym potrafił mówić.

- Cześć, Rudi - krzyknęła Meg i podała mu dłoń.
- Gruss Gott - odpowiedział i odwrócił rękę tak, żeby mogła zobaczyć, czy jego blizna już się zagoiła. Sprawdzała to codziennie.
- Czy to bolało?
- Na! - zapewnił ją, uśmiechając się z dumą. Zaczął śpiewać.

Meg krzyknęła:

- Zagraj na flecie, Rudi! Proszę cię, chcę posłuchać, jak grasz!

W jego pokoju wisiało zdjęcie dwóch kobiet - młodej i starej, a pod spodem fotografia załogi Percherona. Było tylko jedno krzeselko. Rudi przez uprzejmość usiadł na tapczanie i wyjął flet z szuflady. Kilka razy przykładał do niego usta, tak jakby delikatnie całował instrument. Kiedy już zaczął grać, popłynęła muzyka wyrażająca całą jego tęsknotę. Meg słuchała z uwagą. Poczuli, że jej oczy wypełniły się łzami. Przechyliła głowę do tyłu i nie pozwoliła płynąć im po policzku. Czy był ktoś kto, grał lepiej niż Rudolph? Była pewna, że nie.

- Cudownie! - krzyknęła z entuzjazmem, kiedy już skończył.
- Ah du schönes Deutschland! - westchnął.
- Dlaczego nie wrócisz, Rudi? - zapytała. - Mógłbyś znowu zobaczyć swoją narzeczoną i konie.

Potrząsała głową i powiedział:

- Komme, ich muss jetzt frühstücken und du auch.

Meg nie czuła jeszcze głodu. Poszła dalej przez łąkę, żując łodygę dzikiego czosnku. Stała na skraju lasu i poczuła zapach kory i liści. Schyliła głowę i zobaczyła dwa purpurowe krokusy wychylające się z trawy. Podniosła wzrok. Pomiędzy gałęziami drzew unosiła się zielona mgła. Stwierdziła, że czas wracać do domu.

Ściany w pokojach na parterze zdobiły wypchane głowy zwierząt. Inne myśliwskie trofea poustawiano na meblach i podłodze. Czuć było od nich stęchlizną, która na dłuższą metę była nie do zniesienia. Z każdej strony spoglądało kilkanaście par oczu. Obecność tych bestii wyzwalała wyrzuty sumienia. Wystarczyło jednak przyjrzeć się złotym, ostrym kłom, a pryskały natychmiast.

Margaret nie знаła swojego dziadka. Powiedziano jej tylko, że był odważny i dzielny, dlatego został myśliwym. To musiała być prawda. Posiadanie śmiercionośnej broni wymagało odwagi. Margaret nikomu o tym nie mówiła, ale czuła, że dziadek zrozumiałby ją.

W całym domu, gdzie kiedyś mieszkał i był panem, wszystkie jego życzenia były respektowane do tej pory. To, nad czym sprawowała pieczę stara pani Mitchel, kończyło się na jej sypialni i salonie. Tam mogła decydować o kolorze zasłon, o ustawieniu kwiatów i innych tego typu rzeczach.

Meg była w dobrym humorze. Kiedy zjawiła się w jadalni, cała jej rodzina była już przy śniadaniu. Zjadła dwie kromki chleba z miodem. Nagle uświadomiła sobie, czego była świadkiem. Tak, kiedy stała na skraju lasu, miał miejsce cud: w ułamku sekundy zaczęła oddychać prawdziwa wiosna.

Rozdział XVII

W pierwszy poniedziałek po Wielkanocy Meg przyjechała do szkoły później niż należało. Po części była to wina jej matki, która nie przygotowała się na czas do wyjścia, poza tym na ulicach panował straszny ruch.

Linny podskakiwała radośnie na tylnym siedzeniu. Meg nie mogła przyzwyczać się do myśli o końcu wakacji i szkole, dlatego milczała. Próbowała jak najdłużej zachować w pamięci obraz lasu. Przypomniała sobie teraz wyprawę, jakie robiła sama lub w towarzystwie kuzynów.

— Jak myślisz, co babunia robi teraz beze mnie? – krzyknęła Linny. – Zawsze po śniadaniu jej czytałam, prawda, niani? Ciekawe, czy znajdzie swoją ulubioną książkę? Co by było, gdyby król rozkazał teraz zamknąć szkołę?

— Nie ma króla – Meg odezwała się automatycznie.

– Jest! – Linny nie chciała dać za wygraną.

Pani Mitchel łagodnie i z gracją odwróciła głowę w ich stronę i powiedziała:

– Kochanie, Meg ma rację. W Ameryce mamy prezydenta, a nie króla. To dlatego nasi przodkowie przybyli tutaj, pamiętasz? Miałś to na historii.

Linnet uparła się.

– Jest król, widziałam go!

– Uspokój się, nie masz racji! Bądź cicho, nie chcę cię już słyszeć.

– Głos ojca był ostry i brzmiał groźnie.

Pan Mitchel miał bardzo wrażliwe nerwy i lada chwila mógł wybuchnąć. Był i tak dostatecznie zdenerwowany korkiem, w którym stali już dość długo.

Zapanowała cisza. Linny przeniosła się w świat swojej wyobraźni, gdzie nie było miejsca na rodzicielskie autorytety.

Margaret uświadomiła sobie nagle, że ona i jej młodsza siostra są ograniczane przez tyranię ojca. Uważała, że wykorzystywał ich słabość i traktował jak robaki, które można łatwo zdeptać.

Na tylnym siedzeniu, obok dziewczynek siedziała niania. Nie odzywała się, jeśli coś komentowała, to tylko w myślach. Kiedy stanęli przed drzwiami szkoły, Meg wzięła głęboki oddech.

W klasie nie było prawdziwej lekcji. Kilka dziewcząt powtarzało coś po cichu pod czujnym okiem panny Otis.

– O, Margaret, jak miło, że złożyłaś nam wizytę!

Meg uśmiechnęła się, a potem wykrzywiła twarz w grymasie, który ostatnio ćwiczyła przed lustrem.

Podeszła do swojej ławki i spojrzała na plan zajęć. Następny miał być śpiew. Ucieszyła się, to mógł być dobry początek.

- Jaką masz następną lekcję? - zapytała panna Otis.

- Śpiew.

- No cóż, wydaje mi się, że będziesz musiała z niego zrezygnować.

Chcę z tobą porozmawiać. Mary, zastąp mnie na chwilę. Chodź, Margaret!

Skierowały się w stronę jednego z niewielkich pomieszczeń, gdzie mogły porozmawiać na osobności. Margaret siliła się na obojętność i nonszalancję, ale tak naprawdę była niespokojna. Usiadły twarzą w twarz. Dziewczyna przyglądała się wilgotnym dziurkom od nosa i czarnej brodawce na twarzy nauczycielki. Panna Otis świadomie odwróciła głowę w drugą stronę.

- Margaret, myślę, że najwyższy Czas, żebyś zastanowiła się nad sobą i nad tym, co powinnaś robić - zaczęła łagodnie.

Meg siedziała, uparcie patrząc na blat stołu. Panna Otis kontynuowała:

- Wczoraj na zebraniu rozmawiałam o tobie z panną Drew. To jasne, Margaret, że jeśli nie zdobędziesz średniej ilości punktów na egzaminie końcowym, będziesz musiała powtarzać ten rok.

Meg zacisnęła pięści. Nauczycielka dodała całkiem łagodnie:

- Obawiam się, że z historii nie pójdziesz ci najlepiej.

Meg podniosła wzrok i wycodziła przez zęby:

- Nie musi mi pani tego mówić, wiem. Wiedziała. Angielski jest dla niej prosty. Dzięki dobrym ocenom z poezji, na pewno dostanie pozytywną notę. Nad przedmiotami ścisłymi wystarczyło tylko trochę popracować. Geografii też mogła się nauczyć. Do francuskiego musiałaby się zmuszać, ale nie sprawiłby jej większego problemu. Nie mogła przyjąć do wiadomości powtarzania semestru. Jak mogłaby powiedzieć to rodzicom? Jakaż byłaby upokorzona, chodząc do klasy z dziećmi młodszymi od niej. Nigdy, lepiej umrzeć albo uciec daleko stąd.

Panna Otis siedziała nieruchomo. Po ostatnich słowach dziewczynki zaczerwieniła się. Chciała, żeby Margaret okazała coś w rodzaju rozpaczy, słabości. Pragnęła tego bardziej niż czegokolwiek. Gdyby teraz zobaczyła w jej oczach strach, gdyby mogła patrzeć, jak

trzęsą się jej ręce! Wówczas wzięłaby ją w ramiona, przytuliła i otoczyła opieką. Meg była jednak obojętna.

— Czy chcesz tutaj zostać i przemyśleć to sobie?

— Przemyśleć? Tu nie ma nic do myślenia. Jeśli nie zdam, to nie zdam – odpowiedziała twardo. Za wszelką cenę próbowała zachować twarz. Nie chciała okazać zmartwienia. Udawała, że ocena z historii w ogóle jej nie obchodzi.

— Czy mogę już iść na śpiew? – zapytała.

— Tak, możesz.

Meg wyszła, nucąc pod nosem jakąś melodię. Kiedy znalazła się na korytarzu, odechciało jej się śpiewać.

Do tej pory wiek był jej ochroną. Dla ludzi, którzy denerwowali się z jej powodu albo karali ją, była zbyt młoda, aby tak naprawdę im zaszkodzić. Teraz po raz pierwszy musiała zapłacić za to, co zrobiła. Wzięła głębszy oddech i pomyślała: „Ktoś mnie nienawidzi, nienawidzi i chce mi zrobić krzywdę”.

Weszła do klasy w momencie, kiedy dziewczęta śpiewały „Horo Mhairidhu”. Ellen zajęła dla niej krzesło, Meg usiadła, dołączając do śpiewu pozostałych.

– Wiał zimny wiatr, który uderzał o jego piersi! – śpiewały dziewczęta.

Wymieniły z Ellen uprzejme uśmiechy, zupełnie jak ludzie, którzy nie widzieli się od dłuższego czasu.

— Jak spędziłaś ten weekend?

— W porządku, a ty?

— Ho-o-ro Mhairi-dhu, wróć do mnie! – śpiewała Ellen i pokazała jej pomiętą kopertę.

— Co to jest?

Ellen cały czas obracała ją w dłoni. Wreszcie skapitulowała:

– Masz, czytaj.

Meg otworzyła kopertę i włożyła kartkę do śpiewnika.

– Wróćmy teraz do strony sto trzeciej, dziewczęta. Proszę, śpiewajcie głośno i oddychajcie ustami, a nie nosem. Gotowe?

Margaret zaczęła czytać.

Droga Ellen, wróciłem do szkoły i znów muszę zacząć wkuwanie. Trudno mi uwierzyć w to, że cię spotkałem i że pozwoliłaś mi zrobić to,

czego tak bardzo chciałem. Myślę o tobie przez cały czas. Jesteś taka piękna! Proszę, przyślij mi swoją fotografię. Mógłbym ją zawsze nosić przy sobie. To dopiero początek semestru, ale już marzę o tym, żeby cię znowu zobaczyć. Jestem w drużynie biegaczy i muszę dużo trenować. Biorę korepetycje z historii i łaciny, bo w zeszłym roku chorowałem. Jeśli napiszesz, będę przechowywał twój list. Muszę już iść na lekcję i dlatego kończę.

Twój Joe

Meg była przerażona. List miłosny! I to w dodatku do Ellen. To było trochę romantyczne! Spojrzała uważnie na swoją przyjaciółkę. Czy naprawdę była taka piękna? Chyba tak, skoro on tak uważał. Ellen wyglądała jakoś inaczej, żywiej. Miała ciemniejsze rzęsy i błyszczące usta. Nie, nie mogła się malować. Przecież obiecały sobie, że nie będą tego robić. Ellen posłała jej uśmiech Mony Lisy i wzięła list z powrotem. Wszystkie dziewczęta śpiewały:

- Moja słodka damo...!

Margaret pomyślała, że to właśnie Ellen jest taką damą. Przypomniła jej się biały kwiat, który wkrótce zakwitnie. Nie wiedziała, kto do niej pisał, domyślała się tylko. Musiała przyznać, że było to o wiele bardziej ekscytujące niż zabawa w konie, w duchy czy też przygody w opuszczonym domu. Być może gdyby wiedziała, co stało się pomiędzy Ellen i Joem, zrozumiałyby lepiej sens listu. Przez wszystkie lekcje dopytywała się:

- O co mu chodzi? Na co mu pozwoliłaś, Ellen? Wreszcie ta nie wytrzymała:

- To było po tańcach. Zabrał mnie do Radio City. Było cudownie. Później odwiózł mnie do domu, wsadził do windy, a kiedy szukałam kluczy, pocałował mnie.

Meg szeroko otworzyła oczy.

— Jak to? Tak bez pytania?

— Widzisz, cały czas śmiaaliśmy się i rozmawialiśmy, a potem nagle zapadła cisza. Schylił się i zrobił to. Wiesz, myślałam, że jego usta będą twarde, ale nie: były delikatne i gorące.

— Ale nie podobało ci się to? - zapytała nagle Meg.

— Z jednej strony nie, a z drugiej tak.

— Czy musiałaś ruszać głową?

— Nie, on to robił. Och Meg! To jest cudowne.

— Pocałunek?

— Nie, on nie był aż tak ekscytujący. Szczerze mówiąc, nie byłam nim zachwycona. Mam na myśli zabawę, chłopców, z którymi się tańczy i rozmawia... To zupełnie jak gra. Ojciec zrozumiał mnie doskonale, kiedy mu powiedziałam. Powiedział, że dobrze traktować to poważnie. Mówił, że mama nie była w tym najlepsza.

Margaret zaczęła obgryzać paznokcie. Myślała bardzo intensywnie. Jakie to wszystko było dziwne. Była kompletnie zdezorientowana. Te opowieści Ellen pokazały jej, jakim była beznadziejnym dzieciakiem. Wiedziała, że już wkrótce musi przeskoczyć barierę dorosłości. Nie miała innego wyjścia, a czas płynął naprzód.

Dwie przyjaciółki spacerowały razem po podwórku. Dzisiejszego dnia wydawały się być względem siebie nadzwyczaj serdeczne. Tak naprawdę były sobą znudzone. Nie ujeżdżane konie, ukryte gdzieś za rogiem, grały w kości.

Rozdział XVIII

Tracy czuła, że będzie to szczególny dzień, inny niż pozostałe. Od rana była roztargniona, tym bardziej, że gospodyni przy śniadaniu uparcie obgadywała swoich lokatorów.

Od ponad tygodnia ta stara kobieta kręciła się po domu jak duch. Wchodziła i schodziła po schodach nadsluchując i węsząc tak, jakby szukała po-wrotnej drogi do swojej przeszłości.

— Mówiłam ci – zwierzała się Tracy – że to musi się zmienić. Nie mogę znieść obecności tych złych ludzi we własnym domu. Weź chociaż tych artystów. Już dwa tygodnie minęło, a on nie znalazł pracy. Nazywa pracą to chlapanie po moim mahoniowym stole. A ona? To nie może być dobra dziewczyna, jeśli zgodziła się wyjść za takiego mężczyznę. Zresztą czy oni w ogóle są po ślubie?

Mówiła tak już bardzo długo. Tracy zaczęła ziewać ukradkiem, pokazując swoje złote zęby. Była zmęczona. Źle spała tej nocy. Z dołu do późna dochodziły hałasy jakiejś burdy. W ostatnich dniach cały czas odbywały się w jej otoczeniu jakieś awantury, najczęściej w nocy. Ta ostatnia była najgorsza.

Jej sąsiadką była dziewczyna o imieniu Pamela, która regularnie co miesiąc zmieniała swoje towarzystwo. Nikt nie wiedział, jak brzmi jej nazwisko. Wystarczyło Pamela. Była pisarką i uważała, że potrafi wysławiać się górnolotnie. Miała u siebie gramofon i stare płyty z niemodnymi już balladami. Puszczała je cały czas i Tracy nie mogła tego znieść.

Pamela mieszkała sama, ale często odwiedzały ją przyjaciółki. Rytuał był zawsze ten sam: najpierw kolacja, potem cocktail, błaha rozmowa. Później nagły ogień rozpałał kobiece serca. Najczęściej kończyło się wszystko łzami i dramatycznym pożegnaniem.

Kiedy skończyła pić kawę w towarzystwie gospodyni, Tracy wróciła do siebie. Chciała przez chwilę popatrzeć przez okno.

Powietrze było świeże i łagodnie muskało jej policzki.

Po raz kolejny uświadomiła sobie, kim jest naprawdę. Każdej nocy radio nadawało życzenia dla słuchaczy. Młodzieży życzyło nadziei, ludziom w średnim wieku – sukcesów, starcom – miłych wspomnień i uśmiechu. Czy ona kiedykolwiek się śmiała? Czy to możliwe, że te wszystkie lata są stracone?

Zobaczyła, jak Godwyn wylewa brudną wodę z wiadra na chodnik. Minęła go elegancka kobieta w różowym kapeluszu z woalką. Nie zauważyła wody i weszła w nią, mocząc swoje eleganckie pantofle. Tracy wychyliła się z okna i krzyknęła:

– Patrz co robisz, Godwyn!

Zignorował jej uwagę i wrzasnął na całe gardło:

– Co, Tracy, czekasz na kogoś, kto da ci milion za twoją piękność?

– Zamknij się i wracaj do roboty! Był uparty.

– Wiesz, kim ty jesteś? Jesteś jak Jezebel. Uważaj, żeby ktoś cię stąd nie sprzątnął.

Godwyn uśmiechnął się pod nosem. Czuł się jak bohater, który wędruje przez miasto i wykrywa grzechy tego świata. Wyobraził sobie,

że banda poddanych jemu eunuchów zrzuca ją na dół i rozdeptuje jej ciało.

„Miałaby prawdziwą nauczkę” – pomyślał.

Tracy zasłoniła okno.

– Ale z ciebie pieprzony głupek! – mruknęła sama do siebie.

Ubrała się i zaczęła malować. Najpierw nałożyła puder na twarz i szyję. Na to poszedł róż i cienka warstwa szminki na usta. Była gotowa. Dzisiaj miała zobaczyć Eddy'ego i oddać mu część zarobków. Wiedziała, że skończy się to awanturą. Zawsze był taki nieznośny. Pomyślała, że pewnie znów będzie musiała mu się oddać, a to wywoływało w niej wściekłość.

Dzieciaki – te kochała najbardziej. Były takie naiwne i rozbijające! W szczególności dziewczynki. Uważała, że są najlepszym wynalazkiem Boga. Nie pamiętała swojego dzieciństwa i może dlatego ciągle marzyła o bawieniu się lalkami. Kiedyś miała córkę, ale ona żyła tylko trzy tygodnie. Urodziła się taka słaba, że nie potrafiła nabrać powietrza do swoich małych płuc.

Tracy jeszcze raz roztarta puder na szyi.

– Dostyc już tego! – krzyknęła nagle. Wstała i odeszła od toaletki. Wychyliła się przez okno i zobaczyła, jak pierwszy z jej klientów kieruje się do wejścia. Zeszła na dół, żeby otworzyć. Po drodze spotkała pannę Otis, która zamierzała odwiedzić Pamelę. Po raz pierwszy zobaczyła na własne oczy przyjaciółkę swojej sąsiadki. Usłyszała tylko radosny głos:

– Emmy, kochanie! Jak mogłaś przyjść o tej porze, nie masz lekcji? Muszę na chwilę wyjść. Wyjaśnię ci...

Drzwi z trzaskiem się zamknęły.

Tracy lubiła faceta, który miał do niej przyjść. Zjawiał się tutaj od lat i może przez to wydawał się być bardzo stateczny.

Zrobiła mu filiżankę kawy i zaczęli gawędzić. Jasne było, że mężczyźni nie przychodzili tu, żeby filozofować. Seks nie wymagał słów.

– Czy życie nie jest zabawne? – zapytała go nagle. – Czegokolwiek nie zrobisz, Bóg cię obserwuje. Jak pan myśli, panie Dayly, czy to prawda?

Tego było za wiele. Kim ona była? Jak mogła mówić o Bogu właśnie tutaj. Czy naprawdę myślała, że Bóg interesuje się takimi istotami jak ona?

Wstał i zaczął szukać zegarka.

– Pójdę już, do zobaczenia we wtorek.

Zbiegł szybko po schodach. Na dole zobaczył właścicielkę i na jej widok dziwnie się zaczerwienił. Chciał ją ominąć, ale ta głośno krzyknęła:

– Kto tu jest? Kto to?

Nie odpowiadał. Wyciągnęła rękę w jego stronę. Nie mógł znieść jej świdrujących, choć przecież martwych oczu.

– Pani Smith, proszę puścić mojego gościa. Bardzo się spieszy.

Dochodziła siódma. Eddy wkrótce miał się zjawić. Przez cały dzień miała czterech klientów. Piątym chciał być rudowłosy Jack, ale udała, że nie ma jej w domu. Dzwonił kilka razy. Słyszała, jak przekomarzał się z Godwynem.

– Będę tu stał tak długo, jak zechcę.

Ku swemu zaskoczeniu odkryła, że jego głos jest o ton niższy. Nie powinna była go wtedy wpuszczając! Będzie ją teraz nachodził. Usłyszała głośny wrzask:

— Wróć, jak tylko będę chciał!

Godwyn natychmiast odparował:

— Jeśli cię znów tu zobaczę, zawiadam policję!

– Spokojnie, możesz wołać i tak nie dam się wpakować do pudła. Przyjdę jutro, zobaczysz!

Godwyn siedział w domu. Przeklinał pod nosem, a za każdym razem, kiedy otwierał usta, czuć było odór niemytych zębów. Zszedł na dół do swojej piwnicy. Tam wśród kupy węgla i desek stało łóżko, krzesło, stół i resztki jakiegoś radioodbiornika. Wielokrotnie próbował naprawić radio, niestety bez rezultatu. Teraz zajęty był pokrywaniem jedyne go krzesła kawałkiem pluszu. – Zrobię ci piękne obicie – nucił wesoło. Używał do tego sznurka i kilku gwoździ, które wbijał gdzie popadnie. Sznurek wkrótce się skończył, poszedł więc poszukać drugiego. Znalazł jakiś innego koloru i trochę grubszy. Chwilę obracał go w palcach zastanawiając się, czy może go użyć.

Na dworze była wiosna.

Gospodyni poszła się położyć. Nie mogła spać w nocy, więc robiła to po południu. Kiedy się obudziła, było ciemno. Czowała to, bo powietrze

miało inny zapach. Zastanawiała się, dlaczego Godwyn jeszcze nie przyszedł na kolację. Zawołała:

- Godwyn, Godwyn!

Nikt nie odpowiadał.

Wstała i narzuciła na siebie wełniany sweter. Wyszła z pokoju. W domu było nadzwyczaj cicho. Wszyscy, nie miała co do tego wątpliwości, spacerowali i cieszyli się wiosną, tylko ona nie mogła tego robić. Dom zastępował jej ulicę, schody - parkową alejkę, a poręcz - ramię kochanka.

- Boże miłosierny! Co to? - krzyknęła nagle.

Usłyszała dziwny odgłos podobny do jęku zarzylanego zwierzaka. To była jedna chwila. Wkrótce znów zapadła cisza. Skrzypnięcie schodów, trzaśnięcie drzwiami? Nie była pewna. Zaczęła krzyczeć:

- Godwyn! Gdzie jesteś? Godwyn!

Rozdział XIX

Kiedy matka Giovanniego usłyszała o morderstwie, zaczęła głośno szlochać, a potem długo się modliła: Dowiedziała się o tym około trzeciej w nocy.

Giovanni obudził się, słysząc jej spazmy. Następnego dnia czuł się bardzo ważny. Miał wierne audytorium, które słuchało jego opowieści, siedząc jak zwykle nad brzegiem rzeki.

— Została uduszona w swoim łóżku. Nie wiedzą, kto to zrobił. Użył sznurka.

— Nadal tam jest? Byłeś zobaczyć? - zapytał Micky.

— Nie, zabrali ją. - W jego głosie wyczuwało się żal.

Jack milczał, zupełnie jakby niczego nie słyszał. Jego postawa ośmieliła Giovanniego, który nagle krzyknął:

- Chodźcie, pójdziemy tam! Pokażę wam jej pokój!

Josh otrząsał się z niesmakiem.

- Nie wiem, czy to jest w porządku, węszyć tam, kiedy ona nie żyje.

Jack odezwał się obojętnie:

— Dobra, chodźcie zobaczyć. W końcu była dziwka i każdy mógł do niej przychodzić.

— Pewnie, co za różnica. Zresztą jestem jej kuzynem – poparł go Giovanni.

Meg w duchu przyznawała rację Joshowi, jednak nie powiedziała tego głośno. W końcu to Jack podjął decyzję i wszyscy musieli się podporządkować.

Micky nie chciał, żeby Danny szedł razem z nimi.

Mały jak zwykle narobił zamieszania i w końcu pozwolił mu pójść.

Margaret zostawiła wrotki i szczyryk w jaskini. Szła więc pieszo obok całej reszty. Milczeli. Ludzie patrzyli zdziwieni na tę poważną gromadkę.

Kiedy mijali automat zjedzeniem, Meg przypomniała sobie dziwnego faceta w okularach, którego tu spotkała.

Poszli Piątą Aleją. Przechodzili obok kobiet ubranych w długie futra, z których większość miała jaskrawo uszminekowane usta i duże piersi. Nie zwracali uwagi na sklepy, może z wyjątkiem Danniego, który gapił się na każdą wystawę.

Giovanni doprowadził ich przed dom, w którym mieszkała Tracy. Przed wejściem stał Godwyn, malując stare doniczki na kwiaty. Gdy ich zobaczył, odłożył pędzel. Bardzo lubił dzieci i nigdy ich nie lekcewał.

– Witajcie! Przyszliście przeprowadzić śledztwo?

Zauważył Jacka, ale nie dawał poznać po sobie, że go rozpoznał. Giovanni odezwał się z dumą:

– Była moją ciotką.

– Niech mnie cholera! To pewnie twoja matka narobiła tutaj takiego hałasu.

– Tak przypuszczam.

Godwyn zainteresował się Margaret, może dlatego, że nie pasowała do bandy chłopaków. Zastąpił jej drogę.

– Co, kochanie? Chcesz obejrzeć pokój? Stara dama śpi, więc jest okazja.

– Gdzie policja? – zapytał Micky.

– Byli tutaj rano. Już odjechali i zabrali ze sobą faceta, który przychodził tutaj raz w tygodniu – wykrzywił twarz w uśmiechu. Spojrzał na Meg i dodał:

- Chodź, chodź skarbie! Nikt cię nie skrzywdzi.

Dzieciaki, jedno za drugim, weszły na schody.

Danny oddychał głośno, nie potrafiąc ukryć swojego podniecenia. Josh był zdeglustowany.

Godwyn otworzył drzwi do pokoju Tracy. To niewielkie pomieszczenie było czyste i przewietrzane. Giovanni pobiegł naprzód i podniósł z podłogi zdjęcie.

- Patrzcie, to jej fotografia. Patrz, Jack! Pytałeś mnie, jak wygląda.

Jack nie chciał go oglądać, nie był nim w ogóle zainteresowany. Z rękami w kieszeniach stanął przy oknie. Reszta bacznie przyglądała się zdjęciu. Nagle Meg krzyknęła:

- Znam ją!

Jej wrzask był tak nienaturalny, że zaskoczył wszystkich.

Jack szybko odwrócił się od okna. Zaczął się śmiać i delikatnie pociągnął ją za warkocze.

- Hej, Meg, chcesz, żebym umarł ze strachu?

— Naprawdę ją znam. Spotkałam ją w barze.

Jack śmiał się coraz głośniej.

— Znasz ją? Spotkałaś ją? Ale numer!

Ze śmiechu zaczął już płakać. Nagle twarz mu spochmurniała. Pozostali siedzieli cicho patrząc na siebie niepewnie. Godwyn wszedł do środka. Kiedy go zobaczyli, zdecydowali się opuścić to miejsce.

Tylko Meg zwlekała. Podeszła do toaletki i przez chwilę przyglądała się swojemu odbiciu w lustrze. Wzięła do ręki puder i lekko posypała nim nos. Zauważyła tubkę z tuszem i szczoteczkę do rzęs. Użyła ich. Przyciemniła brwi, a przy pomocy szminki zaróżowiła policzki. Nagle usłyszała jakiś hałas. Rozejrzała się po pokoju, ale był pusty. Wychyliła głowę przez otwarte drzwi. Tam zobaczyła widok tak niezwykły, że nie mogła uwierzyć własnym oczom.

Pamela była pierwszą, która ją zobaczyła.

— Kochanie, zobacz, ktoś nas obserwuje.

Twarz panny Otis była przeraźliwie biała.

— Meg, diabolic!

Meg poczuła, że za chwilę serce podskoczy jej do gardła. Szybko zbiegła po schodach.

— Co się stało? Zobaczyłaś ducha? - zapytał Godwyn.

- Ona tam jest, ona tam jest!
- Kto? Duch? – zapytał Danny.
- Nie, panna Otis!

Rozglądała się wokół, szukając właściwego kierunku do ucieczki. Nagle drzwi samochodu, który od dłuższego czasu poruszał się wolno wzdłuż krawężnika, otworzyły się i jakiś mężczyzna krzyknął:

– Meg, wsiadaj!

To był pan Krane, który właśnie wracał do domu.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu, obserwując się nawzajem. Margaret musiała uronić kilka łez, bo zauważył na jej twarzy czarne smugi rozmazanego tuszu. Delikatnie wziął ją za rękę.

— No cóż, skarbie. Chyba wpakowałaś się w jakieś kłopoty.

— Nie wiedziałam, że ona tam będzie. Skąd mogłam wiedzieć? Była taka zła. Ona mnie tak nienawidzi! Teraz na pewno obleję ten egzamin.

– Zaczynj od początku, proszę – zasugerował.

— John, zaparkuj gdzieś tutaj. Staniemy na chwilę – dodał, odwracając się do szofera.

Meg opowiedziała mu o spotkaniu z panną Otis i o tym, co ta powiedziała jej na temat końcowych ocen z historii. Opisała, jak jej nauczycielka całowała się z jakąś blondynką i jaka była jej reakcja.

— Powiedz mi najpierw, co tam robiłaś? – zapytał.

— Chłopcy, z którymi się spotykam tworzą coś w rodzaju gangu. Ciotka jednego z nich została zamordowana.

— Czy lubisz tych chłopców?

– Tak, bardzo. Szczególnie Jacka, jest wodzem.

Po chwili dodała:

— Oczywiście tak naprawdę to Ellen jest moją najlepszą przyjaciółką.

— Nie sądzisz, że ten ostatni bal coś zmienił? – odezwał się łagodnie.

Wlepiała w niego posępny wzrok.

— Myślę, że tak. Powiedział jej pan, że to coś w rodzaju gry, ale ja nie uważam tego za zabawne. Nie mogę się z nią w to bawić.

Uśmiechnął się.

– Nie, nie możesz. Nie przejmuj się, wiem jedno...

- Co?

- Jest coś, co chcesz zrobić - powiedział puszczając jej rękę. - Nie wiem dokładnie, co to jest, ale domyślam się - dodał po chwili.

Zapalił papierosa i obserwował ją uważnie. Milczała i patrzyła przez okno. Parkowali przy Szóstej Alei, tuż obok ogromnego składu. To był ponury budynek bez okien. Ludzie mijali go szybko i dopiero, kiedy byli już daleko, podnosili głowę.

- Dokąd teraz idziesz? Do domu?

- Do domu? - wyjąkała.

- Głuptasie, wiesz, że nie miałem tego na myśli.

- Pójdziemy do cyrku? - zapytała nieśmiało.

- Pewnie, że pójdziemy.

Patrzyli na siebie poważnie. Nagle Meg pochyliła się, a on ucałował jej umalowany policzek.

- Teraz powiem ci, co masz powiedzieć swojej panie Otis.

Rozdział XX

Kiedy Francis Krane skończył jej wyjaśniać, jak powinna postąpić z panną Otis, nie wyglądała na usatysfakcjonowaną.

- To wszystko? - zapytała. - Mam jej to po prostu powiedzieć i wtedy puści mnie z historii?

Skiął głową.

- Po prostu zrób to i zobaczysz, że zdasz. Teraz powtórz to jeszcze raz. Powiem ci, czy właśnie tak masz jej to powiedzieć.

Powtórzyła. Założył nogę na nogę i skrzyżował ramiona. Zawołał do szofera:

- Zawróć, John. Zawieziemy tę damę do domu, bo chyba chcesz wrócić do domu, prawda, Meg?

- Tak - odpowiedziała.

Na rogu Beekman Place zobaczyli Bruce'a przemierzającego ulicę, a pod drzewami panią Mitchel. Miała na sobie krótkie futro i kapelusz przystrojony różami.

— Och, Francis! – zawołała. – Jak miło cię widzieć. Co u Emmy? – Nagle zauważyła Meg.

— Czy zawsze musisz sprawiać kłopot, panno Mitchel? – Była spokojna, ale Margaret wiedziała, że mówi tak tylko ze względu na obecność pana Krane.

Francis zaczął ją zagadywać:

— Och, przestań, Joyce, nie bądź taka sztywna! Nie słyszałaś o nowej generacji? Wiesz, powiem ci, że bardzo jestem zainteresowany ptaszkiem, którego chowasz w swoim gnieździe. Mamy randkę w następną sobotę.

— Francis, jesteś za dobry dla tej niegrzecznej dziewczuchy.

Stali przez chwilę rozmawiając. Meg szybko wysliznęła się z samochodu i weszła do domu. Pobiegła do swego pokoju. Podeszła do biurka i wyciągnęła z szuflady swoje gazetowe wycinki. Przycisnęła je do piersi i zamknęła oczy. „Jak cudownie, jak cudownie jest być sobą”

Linnet, niania i Bruce zjawili się w hallu. Słyszała piskliwy głos młodszej siostry. Nagle Linny wpadła do pokoju jak bomba.

– Mama powiedziała, że jesteś umalowana. Chcę zobaczyć!

Meg odwróciła się i wykrzywiła twarz, ale Linny i tak wrzasnęła z zachwytem:

– Jak pięknie! Czemu zawsze nie malujesz policzków na różowo?

— Może teraz zacznę – odpowiedziała Meg.

— Będziesz wtedy prawdziwą damą.

– Tak, ale przecież jeszcze nie teraz. – Margaret nagle stała się poważna.

– Dlaczego? – zdziwiła się Linny.

– Och po prostu nie i koniec. Nie potrafię ci tego wytłumaczyć!

Pobiegła do łazienki, żeby się umyć.

Tego wieczoru państwo Mitchel wychodzili na kolację. Zeszli na dół, żeby powiedzieć dziewczynkom dobranoc. Pierwsza była mama, która miała na sobie lekką jak mgiełka sukienkę i roztaczała wokół siebie zapach francuskich perfum. Dziewczynki wciągnęła tę woń w nozdrza. Pan Mitchel, ubrany w czarny garnitur, uśmiechnął się.

— Jakaż jesteś piękna! – westchnęli wszyscy.

— Najpiękniejsza – powiedział jej mąż.

– Głuptasy! Czy rzeczywiście wam się podobam? – zapytała.

— Tak, mamo! Naprawdę – głośno krzyknęła Meg, gładząc jej sukienkę.

— Jesteś najpiękniejszą kobietą na świecie – przyznała Linny, brudząc podbródek kawałkiem masła.

— Już wkrótce i ty będziesz mogła tak się ubierać i chodzić na przyjęcia, Meg. Linny, kochanie, zetrzyj to masło.

— Mamo, chciałabym wiedzieć, czy będę wtedy wyglądać inaczej?

— Na pewno się zmienisz, po prostu dorośniesz, córeczko.

— Czy ja też? – wtrąciła się Liny, znów wysmarowana masłem.

— Oczywiście, ale troszkę później. Nie możesz być damą z masłem na twarzy.

— Chciałabym wyglądać tak jak ty.

— Ja będę ohydna i wyrosną mi włosy na języku – odezwała się Meg. Coś w tym stwierdzeniu zdenerwowało jej ojca.

— Margaret, jesteś już zbyt duża, żeby opowiadać takie bzdury! Masz już trzynaście lat!

— Dwanaście – mruknęła.

Pan Mitchel chciał jeszcze coś dodać, ale żona lekko dotknęła jego ramienia. To miał być jej wieczór i nie chciała tracić go na takie rozmowy.

— Chodź i zostaw ją w spokoju. Jesteśmy spóźnieni.

Odeszli.

— Czy nasz tato nie jest przystojny? – zapytała Linny.

— Nie wiem. Przecież sama go widzisz codziennie.

— Kogo kochasz bardziej? Ja mamę.

— Kocham ich oboje jednakowo – powiedziała

Meg, jednak poczuła w sercu dziwne ukłucie, które uświadomiło jej, że ojca kocha mniej.

— Jesteś za mała, żeby wiedzieć, co naprawdę czujesz.

Musiała powiedzieć coś w tym stylu. Jeśli Linny nie wiedziała, to ona musiała być lepsza. Linny zapytała:

— Czy naprawdę będziesz brzydka i będziesz miała owłosiony język?

— Nie używaj słowa „naprawdę” Brzmi sztucznie. Tak, będę brzydka i zacznę całować kobiety w ręce tak, jak to się robi we Francji. Zobaczysz, jak będą piszczwały.

- To wcale nie brzmi sztucznie!
- Brzmi!
- Nie!
- Tak!
- Nie!

Przekomarzały się tylko chwilę, bo Meg była bardzo zmęczona.

– Dobra, przestań. Nie będę jadła deseru. Idę do łóżka.

Zamknęła za sobą drzwi i poszła do siebie. Tam rozebrała się i założyła spodnie od piżamy. Prowlie łagodnie otarł się o jej nogi. Kiedy zgasiła światło, zobaczyła, jaki jasny jest księżyc za oknem. Przypominał jej niekiedy czyjaś twarz. Czasami była to twarz szczęśliwa, czasami spokojna, a nawet patetyczna. Dzisiaj wydawało jej się, że księżyc coś mówi. Zastanawiała się, jakiego używa języka.

Tak naprawdę wiedziała, że to nie są rysy twarzy. Jego powierzchnię pokrywały góry. Żadna ludzka istota, jak do tej pory, nie wspinała się na ich nagie szczyty. Naukowcy usiłowali tam szukać śladów życia. Daremnie.

„Być może to właśnie na księżycu zbierają się dusze po śmierci” – pomyślała Meg. Zastanawiała się, czy dusza panny Tracy też się tam znajdzie.

Były w błędzie, ona i Ellen, obawiając się duchów. Muszą być takie smutne. Poza tym dusza nie zawsze przeistacza się w ducha. Dzieje się tak tylko wtedy, jeśli umiera się za szybko i jest się nieszczęśliwym i niezadowolonym z życia. Jednak panna Tracy została do tego zmuszona, ktoś ją przecież zamordował.

Margaret po raz pierwszy zetknęła się z morderstwem i myśląc o tym, zmarszczyła brwi. Przypomniała sobie, co mówił ten mały człowieczek. Pamiętała go, jak opierał się o drzwi i pchał je rękoma. Mówił wtedy o jakiejś Jezabel.

Meg wiedziała, lam była, ponieważ ojciec czytał o niej ostatnio przy kolacji, ale w tej chwili nie potrafiła sobie przypomnieć, za co dokładnie Jezabel została zabita. Była pewna, że musiała zrobić coś złego. Tak samo było z ciotką Giovanniego: facet, który ją udusił, mógł nie uważać tego za zbrodnię, ale za dobry uczynek, tak jak w Biblii.

To wszystko było jak układanka, z której dopiero po wielu próbach wyłania się konkretna całość.

Miała teraz ważniejsze sprawy na głowie. Chciała wreszcie wymyślić sobie nowe imię, „Meg” nie było odpowiednie dla postaci, którą sobie wymyśliła. Marzyła o imieniu, które pasowałoby do niej jak ulał. Imieniu tylko dla niej. Wybrała imię Roland. Kilka razy powtarzała to słowo, żeby wsłuchać się w jego brzmienie. Poczula głód.

Zeszła do jadalni, gdzie na kredensie leżał ser i krakersy. Słyszała, jak w kuchni służąca i kucharka przekomarzają się z dwoma mężczyznami.

To byli ci sami młodzieńcy, którzy przychodzili zawsze pod nieobecność państwa Mitchelów.

Meg zastanawiała się, co mogą widzieć w chudej Irenie czy w wielkiej, spoconej Mary. Usłyszała, jak Irena tłumaczy niani, że ma zamiar wyjść za mąż. Mówiła też, że trzeba poczekać na zaślubiny do czasu odkupienia grzechu Ewy, który cały czas spoczywa na barkach wszystkich kobiet.

Zaczęła jeść. Czowała, że obserwują ją dwie pary oczu. Bruce i Prowle Chociaż nie żyli w przyjaźni, mieli tę samą pasję: jedzenie.

Kazała im usiąść, a potem obu nakarmiła. Pies nie mógł usiedzieć w miejscu i szybko przebiegał łapkami. Kot siedział wyprostowany i zanim coś wziął do pyszczka, długo to obwąchiwał.

Ser w rzeczywistości nie mógł zaspokoić ich gustów. Jedli go z czystego łakomstwa.

Margaret zwlekała z pójściem do siebie. Siedziała gryząc krakersy i nasłuchując odgłosów z kuchni. Czowała się ciepło i bezpiecznie. Myśl o powrocie do chłodnego pokoju, oświetlonego jasno przez księżyc, nie była przyjemna.

Nagle zauważyła coś na podłodze. Schyliła się i podniosła błyszczący cekin, który odpadł od sukienki matki. Położyła błyskotkę na dłoni. Weszła po schodach do swojego pokoju i schowała cekin do szuflady. Zgasiła światło. Nie mogła dłużej znieść śmiejącego się w milczeniu księżyca. Przeszła do pokoju Linny, którego okna wychodziły na drugą stronę domu.

Dziewczynka spała słodko, mrużąc cicho przez sen. Wyglądała tak spokojnie, że szkoda jej było budzić.

Meg była bezlitosna. Pchnęła siostrę, położyła się obok i natychmiast zasnęła.

Rozdział XXI

Ellen odczuwała dziwną melancholię. Brakowało jej Meg. Przyzwyczała się do tego, że widywały się codziennie i dzieliły ze sobą fascynujące sekrety. Teraz było tak, jakby ktoś zabrał klucze od pokoju z zabawkami. Miała świadomość tego, że Meg została skrzywdzona i zdradzona, ale nie wiedziała, jak jej pomóc.

Przypomniła sobie to, co stało się na zabawie, jak czuła się wtedy, wracając późno do domu, zostawiając za sobą ciemne ulice. Była w towarzystwie swoich partnerów, senna, zmęczona i jednocześnie triumfująca. Johnny opowiadał jakieś bzdury, Joe milczał.

Kiedy Joe wziął ją za rękę, poczuła, jak ziemia rozstępuje się pod jej nogami. Ten dotyk, trwający tylko przez chwilę, był niezapomnianym wrażeniem. Często bywa, że takie pierwsze, całkiem naturalne przeżycia obracają się w coś wstydliwego, pod wpływem rodziców, szkoły, a czasami własnych domysłów.

Ellen, jak dotychczas, nie miała żadnych kłopotów związanych z dojrzewaniem. Jeszcze nie była zniechęcona trądzikiem czy pierwszymi bolącymi miesiączkami. Była dopiero na początku.

Usiadła zgarbiona w swojej ławce. Poczowała powiew wiosny, który jeszcze bardziej ją rozmarzył. Rozwiązała wstążkę i włosy opadły jej na twarz. Każdego ranka M'ssell czesała ją, ale Ellen zostawiała wstążkę wraz z płaszczem w swojej szafce.

Obserwowała Meg rozmawiającą z Phrosso. Poczowała żal. Jej krótkotrwała, ale jednak interesująca przyjaźń zbliżała się ku końcowi. Już wcześniej Margaret miała swoje sekrety, jednak teraz Ellen znalazła się w sytuacji, kiedy nie miała prawa zapytać nawet, o czym rozmawiała z Phrosso. Margaret i tak jej nie powie.

Meg, idąc do szkoły, postanowiła, że dzisiaj usiądzie naprzeciwko panny Otis. Nauczycielka, zanim zaczęła się lekcja, przeglądała swoje notatki. Pomimo, że wiedziała, kto siedzi naprzeciw, nie podnosiła

wzroku. Poruszała nerwowo palcami, szybko przerzucając kartki. Wreszcie Margaret, pokonując wstyd, wystrzeliła:

- Teraz chyba zdam? Panna Otis podniosła wzrok.
- Co powiedziałaś? – odezwała się zachrypniętym głosem.

Meg przełknęła ślinę i zaczęła jeszcze raz, teraz już tak, jak uczył ją pan Krane:

- Po ostatnich wypadkach chyba jest już jasne, że zdam egzamin z historii.

To dorosłe sformułowanie zabrzmiało dość głupio w jej własnych uszach. Nauczycielka odebrała je całkiem poważnie. Poczula, że powoli zapada w bagno. Wydawało się jej, że pod spojrzeniem Meg jej twarz rozpada się na kawałki!

- Wygrałaś, Meg!

Widząc, że dziewczynka nie jest jeszcze pewna, dodała:

- Nie zapominaj o swojej części tego targu.
- O nie, nie zapomnę. – Odpowiedziała Meg nie bardzo rozumiejąc, o co chodzi, przypuszczając tylko, że ma to związek z wkuwaniem historii. Odwróciła się i poszła do swojej ławki. Po drodze zaczepiła ją Phrosso.

- Słyszałam! Masz coś na to babsko!

Margaret poczuła mdłości, na widok Phrosso zebrało się jej na wymioty.

- Nie wiem, o czym mówisz.

Zobaczyła w tyle Ellen i przez chwilę chciała się do niej uśmiechnąć. Szybko przypomniała sobie, że przecież wszystko się zmieniło i bez słowa usiadła przy stole.

Mi-mi odwróciła się do niej i szepnęła:

- Podniosłam dwie twoje kartki z podłogi. Były pod moim krzesłem, leżą na twojej ławce.

- Dzięki – wymamrotała obojętnie.

Zadzwonił dzwonek i wszystkie zgodnie pomaszerowały na modlitwę. Ellen wśliznęła się tuż za Margaret i powiedziała:

- Meg, pójdziemy do kina w sobotę? Mama powiedziała, że zabierze nas na Broadway.

- Bardzo chętnie, ale w sobotę idę do cyrku.

Nie powiedziała jej z kim, a Ellen jej o to nie zapytała.

Poczekają chwilę, żeby przepuścić maluchy.

– Meg, pomyśl, jak byłoby cudownie, gdybyśmy mogły razem chodzić na bale!

— Mhm – mruknęła Meg bez entuzjazmu.

— Razem się ubierać, czesać i w ogóle...

– Tak, oczywiście. To mogłoby być miłe – powiedziała, a w duchu pomyślała: „Mówię tak tylko po to, żeby nie być niegrzeczną. Co za nudy!”

Po chwili dodała głośno:

— Ellen, mam teraz inne plany. Zdecydowałam, że zmienię imię. Teraz nazywam się Roland.

— O, tak! To świetne imię dla ciebie! – krzyknęła Ellen.

— Domyślasz się, że to sekret i nie powinnaś mówić o tym głośno.

– Wiem – powiedziała Ellen z wyrzutem. – Czy myślisz, że już zapomniałam?

Czy Meg rzeczywiście myśli, że ona nie pamięta o tym, jak najzwyczajniejsze sprawy stawały się ekscytujące i ważne? Przez moment dwie dziewczęce dusze połączyły się razem, jak w uścisku. Jednak po chwili – znów były od siebie daleko. Za późno...

Przez wszystkie lekcje tego dnia Margaret marzyła, żeby być już nad brzegiem rzeki. Czuła, że będzie musiała podjąć decyzję.

W klasie czuło się pierwsze oznaki paniki przed egzaminami. Nawet lunch, dotychczas przyjmowany z radością, przyprawiał większość o mdłości.

Margaret była zmęczona i nie mogła na niczym skupić uwagi. Ukradkiem wymknęła się ze szkoły. Nie miała pieniędzy nawet na autobus, wrotki zostawiła w jaskini, musiała więc iść pieszo. Postanowiła przyczepić się do ciężarówki, ale ta, mijając kilka domów, skręciła w lewo. To nie był ten kierunek, musiała więc zrezygnować z tego środka transportu.

Niebo miało jasnoniebieski odcień. Nad brzegiem rzeki rosło mnóstwo chwastów, które puszczały nowe pędy. Śmierdzące, nie kochane przez nikogo, ale odważne, mocno tkwiły korzeniami w czarnej ziemi.

Tego dnia nie było tu starych kobiet. Meg spotkała tylko zjadacza trucizny rozłożonego, jak zwykle, na chodniku. Dotarła do celu czując kropelki potu spływające jej na górną wargę i suchość w gardle.

Giovanni, Micky i Danny brali pierwszą w tym sezonie letnią kąpiel. Skakali po plaży, żeby się rozgrzać przed wejściem do lodowatej wody. Kiedy zobaczyli Meg, stanęli zakłopotani.

Giovanni krzyknął:

– Meg, chodź tu! – odwrócił się do niej bokiem. Ten chłopięcy wstyd rozbawił ją. Krzyknęła tylko:

– Och wy!

Minęła ich i wspięła się po skałach, żeby znaleźć Josha.

Siedział samotnie, rozmyślając tuż obok radiodbiornika Jacka.

– O! Skończył już? Zobaczymy!

Ku jej rozczarowaniu to nie było prawdziwe radio. W środku zobaczyła masę baterii i zwoje drutów.

– Nic nie słyhać! Powinno być do czegoś podłączone?

Josh milczał. Nagle podniósł głowę i zapytał:

– Meg, gdzie byłaś wczoraj z tym facetem? Chyba wiesz, że to niebezpieczne dla młodych dziewcząt tak łączyć z nieznajomymi.

Roześmiała się.

—Przestań, głuptasie, znam go.

—Znasz?

—Pewnie! To ojciec mojej przyjaciółki.

—Czasami to bez znaczenia – powiedział Josh z uporem.

—Co, do cholery? Myślisz, że jestem dzieckiem? Nie zadaję się z nieznajomymi!

Nagle Josh, ku swemu zaskoczeniu, wystrzelił:

– Nie? A Jack?

Zaczerwienił się i zacisnął usta. Żałował, że to powiedział.

– Co masz na myśli? – zapytała Meg. – Jack nie jest nieznajomym.

Poza tym nigdzie z nim nie chodziłam!

Nagle poczuła, że jakiś wewnętrzny głos mówi jej zupełnie co innego. Zignorowała to. Josh już się nie odzywał. Odwrócony majstrował coś przy radiu. Po chwili ciszy zapytał nieśmiało:

– Meg, będziesz moją dziewczyną?

Nie chciała urazić jego uczuć i dlatego odpowiedziała:

- Jestem za młoda, żeby być czyjąkolwiek dziewczyną.

- A później?

Zanim odpowiedziała, zjawił się Jack. Podszedł prosto do Meg, chwycił ją za kołnierz sukienki i zakreślił go w rękę.

— Co, do cholery, robiłaś wczoraj z tym starym pedziem?!

— Znam go! Znam go bardzo dobrze! – wyjąkała. – Co się z wami wszystkimi dzisiaj stało?

Nie zwolnił uścisku.

— Jak możesz znać takiego bogatego fagasa?

— Znam i już!

Puścił ją i zapytał zimnym głosem:

- Kim ty, do cholery, jesteś? Wydaje ci się, że znasz wszystkich: od dziwki do bogatego pedzia! – Patrzył na nią wrogo. – Wiemy o sobie wszystko nawzajem, a nie znamy nawet twojego nazwiska. Jak się nazywasz?

- Ja?

— Tak, głupku!

— Roland – odpowiedziała.

— Meg Roland?

— Nie, po prostu Roland.

Uśmiechnął się ironicznie.

— Przecież ty jesteś pieprznięta!

Przyłożył jej pięść do głowy udając, że chce ją uderzyć.

- Co? Nie potrafisz gadać z sensem! A ja myślałem, że będziesz moją babką!

Meg stanęła z nim twarzą w twarz.

- Kiedy dorosnę... będę brzydka jak...

Jack zaczął się śmiać i nie dopuścił jej do słowa.

- Chodź, Josh! Dziewczyny są głupie. Nie warto marnować z nimi czasu. Idziemy popływać, bo tamci powiedzą, że byli pierwsi.

Meg odwróciła się i pobiegła w stronę plotu.

Wydawało się jej, że wszystko widzi po raz pierwszy: rzekę, most, skały. Przecież tutaj bawiła się i tutaj nauczono ją, czym jest wolność. Za nic nie wróci do jaskini! Pal diabli wrotki i nóż!

Już na ulicy usłyszała za sobą kroki. To był Josh.

– Meg, wiem, że już nie wrócisz. Chciałbym powiedzieć ci do widzenia.

– Skąd o tym wiesz, Josh?

– Po prostu to wyczułem. Chciałbym dać ci mój szczęśliwy pieniążek. – Otworzył rękę i wyciągnął w jej stronę. Stali tak przez chwilę patrząc na siebie.

– Myślę, że matka mnie potrzebuje. Cześć, Meg!

– Żegnaj, Josh! – Odprowadziła go wzrokiem i ruszyła do domu. Po drodze zgięła miedziak od Josha. Po prostu wysliznęła się.

„To i tak nie przyniosłoby mi szczęścia” – pomyślała.

Rozdział XXII

W sobotę pan Krane i Meg poszli razem do cyrku. Francis miał w międzyczasie atak i wyglądał jeszcze gorzej niż zazwyczaj: pod oczami miał żółte fałdy, a jego twarz była biała. Emmy odprowadziła go do drzwi.

—Może lepiej założysz szalik? – zaproponowała, kiedy zapinał płaszcz.

—Emmy! Proszę cię, nie zwracaj roi głowy, przynajmniej dzisiaj. Jak będzie się czuła Meg w towarzystwie mężczyzny z takim szalem?

Pozwoliła mu odejść. Nie zauważył ręki, którą położyła na jego ramieniu. Był w dobrym nastroju i odczuwał dziwne podniecenie.

Zaczęło padać. Drobne kropelki wpadały przez opuszczoną szybę do wnętrza samochodu.

Meg zeszła na dół. Portier cały czas trzymał nad nią parasol, tak jakby była dojrzałą damą.

Państwo Mitchel, Linnet i niania pojechali na wieś. Meg miała do nich dołączyć następnego ranka. Tak więc, wyłączając kucharkę i pokojówkę, miała cały dom dla siebie.

Zaczęła ubierać się wcześniej, zaraz po kolacji. Kiedy zadzwonił telefon i powiedziano jej, że pan Krane jest już na dole, zawahała się. Podeszła do szuflady, wyjęła z nich swoje gazetowe wycinki i podarła je

na drobne kawałki. Wzięła do ręki znaleziony cekin i przeszła do pokoju matki. Tam zapaliła dwie lampy przy lustrze i przy pomocy bezbarwnego lakieru przykleiła cekin na policzku.

– Wyglądasz bardzo ładnie, skarbie! – pochwalili ją pan Krane. – Mam nadzieję, że ubrałaś się tak dla mnie. Ja tak zrobiłem, to mój ulubiony krawat.

Zauważył cekin na jej twarzy, ale nie odezwał się. Wokół panowała mgła, a złoty deszcz delikatnie zwilżał ich twarze.

Eddy Stręczyciel siedział na swej więziennej pryczy. Ręce opuścił bezwładnie wzdłuż ciała.

Francis zapalił papierosa i sięgnął po kolejny Bourbon. Nagle jednak zrezygnował. „To musi być jej noc” – pomyślał.

Zastanawiał się, czy wybrała ten strój sama, czy ubrała ją matka. Miała na sobie brązowy żakiet, którego szczypaniu w pasie i rozszerzone poły sprawiały wrażenie wytworności. Ona sama nie była jej świadoma. Na głowie miała kapelusz do konnej jazdy, było to jedyne nakrycie głowy, jakie posiadała. Spod okrągłego ronda wymykały się kosmyki włosów. Francis siedzący tuż obok, czuł od niej zapach jeszcze dziecięcy, ale już z odrobiną kobiecości. Miała brązową, plisowaną spódnicę i zwykle buty tego samego koloru. Wcześniej myślała, żeby założyć skórzane pumpy. Rozmyśliła się jednak.

Pan Krane założył nogę na nogę. Trzymał papierosa w ustach, od czasu do czasu wydmuchując dym nosem.

Jack w swoim nowym, odświętnym garniturze szedł wolno do kina w towarzystwie dziewczyny. Nie dbał o to, czy jest pod jej parasolem. Starał się mocno ścisnąć jej ramię.

— Lubisz radio? – zapytał niedbale.

— Pewnie!

— Masz jakieś w domu?

— Nie – powiedziała.

— Ja swoje zrobiłem sam. Dam ci posłuchać, jeśli będziesz chciała.

— W porządku.

—

Byli na Madison Square dużo wcześniej, tylko po to, żeby niczego nie stracić. Minęło dużo czasu, zanim znaleźli swoje miejsce.

Kiedy już usiedli, stwierdzili, że warto było czekać. Rozpierali się na miękkich fotelach tuż naprzeciwko areny, w dodatku w osobnej łoży. Orkiestra zaczęła grać typową cyrkową muzykę. Meg objadała się cukrową watą, której resztki miała na całej twarzy.

Panna Otis była w domu sama. Wypięła brzuch, tak że wyglądała zupełnie jak kobieta w ciąży. Wszystko wokół niej obracało się bardzo szybko. Słyszała tylko odgłosy kroków, które dudniły nieznośnym refrenem: „Tik-tak, tik-tak”

Orkiestra zagrała głośniejsz i parada rozpoczęła się. Meg obserwowała wszystko, opierając się o poręcz. Słonie przechodziły tak blisko, że można było dotykać ogromnych fałd na ich skórze. Goryl posyłał wszystkim mordercze spojrzenia. Klowni tańczyli, bębniąc rękami po swoich wypchanych brzuchach. Margaret w ogóle się nie śmiała. Zresztą rzeczywiście nie było w nich niczego zabawnego.

Krane bacznie obserwował swoją towarzyszkę. Kiedy będzie wreszcie to, na co czeka? Czy w ogóle w całej tej szopce będzie coś, co chciałaby zobaczyć?

Zjadacz trucizny kulił się przy ścianie. Nie czuł deszczu. Chciał po prostu przytrzymać się czegoś stabilnego, bo wydawało mu się, że jego ciało rozpływa się. Łzy, ślina z ust, mocz i deszcz...

Artyści maszerowali z dumą. Kobiety miały na sobie różowe trykoty opinające umięśnione uda. Ich stopy w różowych pantofelkach wyglądały tak lekko, jakby nie zwykły dotykać ziemi. Wszystkie miały blade twarze i mocno umalowane policzki. Atleci pokazywali swoje torsy.

Meg nadal nie wykazywała zainteresowania. Dopiero kiedy konie utworzyły koło i zaczęły tańczyć na tylnych nogach, wydała okrzyk podziwu. Po chwili znów spuściła głowę i zeszywniała. Nie patrzyła nawet na tresera wymachującego batem.

Francis wyprostował się. Siedzenie było zbyt twarde dla jego wątych kości. Przedstawienie pomału dobiegało końca. Zaniepokoił się.

Linnet spała w swoim łóżku, opierając policzek na ramieniu. Cóż można powiedzieć o takich grzecznych, jasnowłosych dziewczynkach poza tym, że są okrągłe, różowe i słodkie.

W rogu pokoju siedziała niania, zszywając białe kołnierzyk.

Kiedy było już po wszystkim Meg i Krane siedzieli jeszcze chwilę, czekając, aż wszyscy wyjdą.

— Myślę, że powinniśmy pojechać do domu.

Ku jego zaskoczeniu odwróciła się i szepnęła:

— Nie pójdziemy na dół?

- Chyba nie chcesz oglądać tych potworów, skarbie? - zapytał rozczarowany.

— Chcę zejść na dół - powtórzyła uparcie.

— No cóż, jeśli tego pragniesz...

Czekając, aż zwierzęta najedzą się, spacerowali.

Pod numerem czternastym gospodyni po omacku wychodziła po schodach. Od czasu do czasu robiła przerwy i nasłuchiwała. Deszcz przemawiał do niej swoim delikatnym, nostalgicznym szumem.

„Niespokojny deszcz. Zupełnie jak ja. Ciągłe słucham innych, ich radości i bólu. Czy kiedykolwiek miałam własne życie?”

Na dole słyhać było Godwyna, który przesuwał coś w swojej piwnicy. Jej żyły napełniała dziwnie wzburzona krew, zupełnie jak młode wino, tyle że w starych butelkach.

Zwierzęta były już w swoich klatkach ustawionych w jednym szeregu. Ostatnia należała do wielkiego Iwa. Na drzwiach klatki wisiało kółko z kluczami.

Meg podeszła bliżej, przekręciła klucz w zamku i weszła do środka. Francis otworzył szeroko usta. Chciał krzyknąć, lecz coś kazało mu milczeć. Teraz może się wszystko wyjaśnić. Miałby stracić tę ostatnią szansę? Przegapić to? Nie, nigdy!

Meg patrzyła na bestię, stojąc całkiem blisko.

„Roland znów zobaczył swego brata” – pomyślała.

Zwierzę przestało się czaić i z zainteresowaniem patrzyło na dziecko.

– Roland został rozpoznany. Jestem daleko od domu, mój bracie! – powiedziała Meg.

Wkrótce przybiegł treser. Wpadł jak burza, szarpnął Meg i wyciągnął ją z klatki. Znaleźli się w centrum wielkiego tłumu. Głos mężczyzny powoli przechodził od furii do słów uznania. Pan Krane siedział na taborecie. Był szczęśliwy. Jego ciało i dusza pogodziły się.

Treser zwrócił się do zgromadzenia i tak, jakby Meg była jego dziełem, podniósł ją, żeby wszyscy mogli ją zobaczyć...

— Tak po prostu sobie stała! Zupełnie, jakby się znali...

— Teraz już możemy iść, prawda, panie Krane? – uśmiechnęła się.

RS